Nr. 24. Warszawa, dnia 16 (4) Czerwca 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

ZATARG W WĘGRZECH.

Chyba od wielu lat stara Europa nie była świadkiem takiej uporczywej a gorączkowej walki, w jakiej od kilku już miesięcy ścierają się z sobą namiętności polityczne w Węgrzech. Pozornie, ale tylko pozornie idzie tam o reformę stosunków pomiędzy kościołem a państwem w zakresie prawa małżeńskiego. W Przedlitawii oddawna uległy one zmianie, lecz węgierska połowa monarchii habsburskiej nie wprowadziła u siebie zasad, które zapanowały w całej konstytucyjnej Europie. Mówiono o tem wiele, jednak owoców nie było. Kler, wszechmocny w Zalitawii, wraz z arystokracyą rodową, jeszcze wszechwładniejszą, udaremniały każdą potrzebę w tym kierunku, zwłaszcza ponieważ znajdowały poparcie ze strony cesarza, który dotąd nie zdobył się na oddanie rewizyty królowi Humbertowi, gdyż musiałby ją złożyć w „zagrabionym grodzie.“ Wreszcie liberalny gabinet Wekerlego odważył się te długoletnie marzenia przyoblec w formę namacalną i wnieść do Izby. Musimy nadmienić, że ludzie, którzy go wypracowali, są wytrawnymi mężami stanu i, jak mówi przysłowie, zjedli swoje zęby w służbie publicznej i że zatem bynajmniej nie pośpieszyli z reformą dla jakichś celów oderwanych, ale znagleni do tego istotnemi potrzebami kraju. Minister Szilagyi, przedstawiając zamiary rządowe w sejmie, z góry oświadczył, że nie chodzi o jakieś rzucenie rękawicy kościołowi, ale o rozciągnięcie kontroli nad tem, co słusznie należy do działalności państwa. Boskie Bogu, ale cesarskie cesarzowi! Każdy związek małżeński, zanim będzie pobłogosławiony przez księdza, winien uprzednio odbyć się w urzędzie municypalnym, ceremonia zaś urzędowa jest dla prawa dostateczną, ażeby ulegalizować małżeństwo. Podobnie rozwód dopóty nie posiada mocy prawnej, póki państwo nie da na to sankcyi. Wreszcie wyznanie potomstwa zależy od dobrej woli rodziców. Tak brzmią zasadnicze myśli wypracowanego projektu. Religia nie została obrażoną, przeciwnie szacunek dla niej wygląda z każdego paragrafu ustawy; co zaś do czynionego zarzutu, że wniosek rządowy burzy świętość i nierozrywalność ogniska domowego, o tem mogą bajać tylko ci, którzy nie znają stosunków węgierskich. Istnieje bowiem w Siedmiogrodzie wyznanie unitaryuszów, dające rozwód bardzo łatwo, kto zaś na niego zdecyduje się, niezbyt długo będzie namyślał się nad zmianą obrządku. Otóż projekt rządowy raczej powściąga tę samowolę do tego stopnia, iż komuś, zamierzającemu skorzystać ze stosunków madziarskich celem rozerwania małżeństwa, adwokat doradza pośpiech, zanim prawo wejdzie w życie, bo później może być inaczej! Dzieło ministra Szilagyi czyni tylko jeden wyłom: w haraczu, pobieranym przez duchowieństwo — nic nadto.

A zatem doniosłość zamierzonej reformy bynajmniej nie znajduje się w stosunku do wywołanej wrzawy, która zaprawdę przewyższyła wszelką miarę spodziewaną. Duchowieństwo odbywało wiece i rozsyłało listy pasterskie po całym kraju, nawołujące do oporu władzom; magnaci nie szczędzili słów i co dziwniejsza—pieniędzy i własnego karku, ażeby papką i czapką zniewolić posłów do głosowania przeciwko projektowi rządowemu; zwrócono się do tłumów włościańskich, ażeby powszechnym rokoszem odpowiedziały na wniesioną do sejmu reformę i błysnęły posłom w oczy niebezpieczeństwem utraty mandatów. Wszystkie te wysiłki, niby groch o ścianę, odbiły się bezskutecznie od umysłów religijnego ludu. Ludność prowincyonalna urządzała mityngi po parę tysięcy osób, oświadczała, że wyznaje i chce wyznawać zasady religijne, a mimo to posyłała rządowi dziękczynne adresy! A kiedy ogłoszono wiec w Budapeszcie na korzyść reformy, w tłumie, liczącym kilkadziesiąt tysięcy uczestników, można było widzieć całe orszaki sukman włościańskich z różnych okolic, nawet prości rybacy szegedyńscy i poganiacze stepowi wysłali delegacyę. Tych prostaków chyba o wszystko wolno podejrzywać, ale nie godzi się wątpić o szczerości ich i przywiązaniu do wyznawanej religii. A zatem jądra waśni należy poszukiwać gdzieindziej. I w rzeczy samej, reforma prawa małżeńskiego jest straszną, ale z innych względów. Prócz Turcyi, nigdzie w Europie niema takiego nieładu w administracyi, jak na Węgrzech. Szlachta rządzi po swojemu na prowincyi i wprost mianuje władze gminne i municypalne, czyniąc z nich posłuszne narzędzie swoich wybryków. Otóż reforma małżeńska pociąga za sobą, jako konieczne następstwo, uregulowanie stosunków na tem polu. Złamanie znowu potęgi szlacheckiej w samorządzie prowincyonalnym wywołać musi skutki w całej machineryi prawodawczej i usunie z widowni społecznej mnóstwo synekur. Właśnie w tem tkwi rdzeń namiętności, które burzą się w Zalitawii — *hier ist der Hund begraben!* Ci włościanie i drobnomiejscy łyki, ci rybacy i poganiacze stepowi uczestniczyli w wiecach tylko dlatego, że zaświtała im jutrzenka kontroli państwowej nad samowolą szlachcica. I dewotki, które, niby osy, kąsały i spotwarzały projektodawców, pieniędzmi a — jak wieść niesie — nietylko oczami podkupywały chwiejnych wysłańców narodu i intrygowały za kulisami

sejmowemi, wiedziały, że bronią uposażeń i synekur swoich mężów, kochanków i synów.

Wniosek zwycięzko wyszedł z pod obrad sejmu po dwu miesiącach walki krasomówczej, w której języki poselskie zamieniły się na żądła. Ale Izba magnatów nad wolą narodu, upostaciowaną w sejmie, postawiła swoje „nie pozwalam.“ Rząd węgierski, korzystając z przysługującego mu prawa, wniósł przed trzema tygodniami projekt powtórnie do sejmu i powtórnie zwyciężył. Ludność radośnie wtórowała temu nowemu tryumfowi, po kraju rozległ się okrzyk oburzenia przeciwko samowoli magnackiej, tak ciążącej nad każdym zakątkiem jego. Ale ażeby zyskać zatwierdzenie ze strony magnatów, gabinet musiał przedsiębrać pewne środki, zależne od woli korony. Franciszek Józef, zmuszany, ażeby okazał czynną pomoc w przełamaniu uporu magnatów, dokonywa poniekąd istotnego zamachu stanu, b)daje dymisyę Wekerlemu, posiadającemu powszechne zaufanie kraju, i ster rządów powierza nieznanemu urzędnikowi, banowi Chorwacyi. Ale sprawa przybrała obrót niespodziewany, przesilenie bowiem stało się państwowe. Okazało się, iż jedynie liberalni są grupą zachowawczą ze stanowiska interesów monarchii habsburskiej, bo każde inne, nieco liczniejsze stronnictwo, targnie się na istniejący dzisiaj dualizm. Stanęły do walki przekonania i sympatye monarchy z przyszłością jego domu. Albo partya liberalna pozostanie u steru rządu i Franciszek Józef będzie narzędziem w jej ręku, albo całość monarchii będzie narażona na szwank i do władzy dostaną się grupy z dążnościami rozkładowemi. I jedno złe i drugie jeszcze gorsze. Cesarz niedługo się wahał. Zniewolony warunkami, złożył swoją dumę z doznanemi upokorzeniami na ołtarzu przyszłości Habsburgów, a zatem nietylko ponownie powołał Wekerlego, lecz nadto tem samem dał ostre napomnienie arystokracyi rodowej.

W takim stanie znajduje się zatarg obecnie. Reforma prawa małżeńskiego jest zapewnioną, z nią zaś inne, znoszące wszechwładzę kleru i szlachty.

Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nadeszła znowu chwila, w której mocarstwa europejskie, prowadzące politykę zaborczą w koloniach azyatycko-afrykańskich, mają sposobność przyorania do swych posiadłości kilku niw świeżych. Najenergiczniej występuje Francya, której udało się w ostatnich czasach osiągnąć kilka zdobyczy i która wyzyskuje w ten sposób swoje obecne położenie. Izba, która gabinetowi Dupuyego wróżyła rychłą śmierć, gdy ten zażądał pieniędzy na „obronę interesów francuskich,“ przyznała mu je prawie jednogłośnie. Jest to jedyny wypadek, w którym ona nastraja się harmonijnie. Zaczęto od biednego Syamu. Władze tamtejsze odmówiły wydania jakiegoś zabójcy francuza; był to dostateczny powód do zajęcia nowych dzielnic kraju, które już można uważać za zdobyte. Równocześnie wypadła potrzeba „obrony interesów“ w Maroku, którego sułtan został otruty, czy umarł. Najbardziej zaniepokojona Hiszpania, spodziewając się zwiększonych uroszczeń ze strony sąsiadów, zaproponowała konferencyę międzynarodową. Projekt ten grzecznie przyjęto, ale pośpieszono się tylko z wysłaniem okrętów i wojsk do Afryki naturalnie dla „obrony interesów.“ Uprzedziły innych Francya i Anglia, a zanim sprawa konferencyi zostanie rozstrzygnięta w zasadzie, już będą *beati possidentes*. Łatwo zrozumieć, że obrady międzynarodowe i rozprawy dyplomatyczne są potrzebne tylko Hiszpanii, która nie mając sił, pragnęłaby zastąpić oręż językiem i dowieść swych praw do Maroka w gabinecie zamiast na polu walki. Ale inaczej na tę kwestyę patrzą Francya i Anglia, które wsadziwszy na okręty najbardziej przekonywającą argumentacyę, kazały jej krążyć przy brzegach afrykańskich.

Trzecią wreszcie sprawą, która już bardzo zaogniła się głównie dzięki Francyi, jest zatarg o Kongo. Król belgijski, jako zwierzchnik tego państwa, zawarł układ z Anglią, na mocy którego strony pomieniały się na terytorya. Otóż przeciwko tej umowie wystąpiła bardzo ostro Francya, uważając ją za bezprawną. Podobno przyłączyły się do niej inne mocarstwa, ale ponieważ zatarg zeszedł z widowni publicznej i skrył się w łożysko korespondencyi dyplomatycznej, więc trudno orzec, w jakim stanie znajduje się obecnie. Francya tedy zajęła stanowisko wyzywające w trzech punktach i prawdopodobnie we wszystkich zwycięży — w Syamie, w Maroku i w Kongo. Nadeszła dla niej pora tryumfów kolonialnych.

Nie zaznaczyliśmy w poprzedniej kronice dymisyi Crispiego, bo nie wątpiliśmy, że w następnym numerze *Prawdy* będziemy musieli donieść o nowym gabinecie... Crispiego. Rzeczywiście tak się stało. Wprawdzie gabinet ten nie jest jeszcze gotowy we wszystkich swoich częściach, ale jego kopułą pozostał ten sam człowiek, w którym, jeżeli nie naród, to król widzi jedynego wybawiciela narodu z fatalnego położenia. Według doniesień dziennikarskich, reforma finansowa Sonnina, około której toczy się walka, ulegnie pewnym zmianom, ale nie zasadniczym. Nie ma rady: trzeba będzie pomnożyć podatki, bo inaczej nie będzie czem karmić i odziewać wojska. Nieoczekiwana tak szybko śmierć Nicotery, jednego z wybitnych mężów stanu włoskich, na chwilę sprowadzi lekki zamęt, ale może zarazem ułatwi działalność tym, którzy pozostali przy życiu.

Oświadczenie Wekerlego, który, jak Crispi, po krótkiej dymisyi wystąpił znowu na arenę, zawiera ten ważny szczegół, że cesarz pragnie osobiście, ażeby ustawa o ślubach cywilnych przyjęta została przez Izbę magnatów. Są oni obecnie gnieceni w mocnej prasie.

W Bułgaryi cicho. Stambułow miał długą rozmowę z ks. Koburskim, której treść jest nieznana.

ENCYKLIKA
LEONA XIII PAPIEŻA
do biskupów polskich.

(Według tekstu *Przeglądu katolickiego*).

(Dokończenie).

Wiemy dobrze, Wielebni Bracia, że w przedmiocie seminaryów duchownych nie jesteście

---

3)

Władysław S. Reymont.

SUKA.

Szkic.

Droga z przed dworu szła bokiem zabudowań gospodarczych i minąwszy je, obiegała po nasypie w półkole zatoczonym, ogromny staw, trzymany groblami wysoko, przechodziła obok młyna stojącego już w łąkach, przerzucała się przez upust i szła ku wsi, wyciągniętej w długą, porozrywaną linię. Młyn stał nizko, szczyty jego dachów były na poziomie wody.

Choć mrok był coraz gęstszy, Witek dostrzegł na grobli wprost młyna gromadę ludzi, rozbiegających się na wszystkie strony i czepiających się to drzew, to płotów i jakieś krzyki trwożne, pomieszane, przecinały powietrze. Upust był otwarty i stawidłami woda z szumem rzucała się na dół z jakiejś dziesięcio-łokciowej wysokości, biła w brzegi olbrzymiemi, płaskiemi falami, obryzgując pianą drogę. Nie mogąc się pomieścić w łożysku rzeczki, wystąpiła z brzegów, szeroko rozlewając się w niziny. Chłopak się rozglądał i zobaczywszy sukę, biegnącą naprzeciw, krzyknął:

— Finka! Pódź tu!

Krzyczeli coś do niego z drzew i płotów, ale nie mógł usłyszeć w szumie wody i gwizdał najspokojniej. Suka się na chwilę zatrzymała i w szalonych susach rzuciła się ku niemu. Przypadła mu do nóg i krótko, żałośnie skowyczała; piana toczyła się jej z gęby, a ślepie błyskały krwawo.

— Finka! — zawołał.

Skoczyła mu do piersi jakoś dziko, chwytała za zgrzebne spodnie, szczękała zębami, tarzała się przed nim w piasku, odbiegała trochę i powracała znowu skomląc okropnie.

Witkowi zrobiło się jakoś strasznie: nie umiał sobie wytłomaczyć jej wycia, ani rzucania się, więc zaczął pędzić do młyna. Suka go wyprzedziła, zbiegła z wału i chlusnęła do wody: płynęła chwilę w kierunku wysepki leżącej w końcu trójkąta, jaki tworzyły, wody spadające z pod kół i z pod upustu, a łączące się o kilkanaście prętów dalej w jeden strumień wrzący. Upłynęła kilka kroków, ale gwałtowny prąd zniósł ją w bok i wyrzucił na łąki. Miotała się kilka razy nadaremnie. Przyleciała znowu na nasyp, obiegała młyn i położyła się nad brzegiem spienionych wód, wyjąc okropnie.

Witek wlazł na wysoki płot, bo dosłyszał wołania, że suka się wściekła. Dziedzic, siedzący także w strachu na jakiemś drzewie, wysłał jednego z parobków po dubeltówkę. Chłopaka markotność rozbierała i taki żal, że gwizdnął na nią pieszczotliwie, przybiegła, zaczęła gryźć żerdzie, wyrzucać piasek nogami, kręcić się w kółko i wyć... To podbiegała ku drzewom, na których siedzieli ludzie, skomliła, odrapywała pazurami korę, tarzała się w piasku, biegła co chwila nad wodę i dysząca, okryta błotem, zmęczona, wlokła się na brzuchu nad sam brzeg i krwią zalanemi ślepiami tonęła w mgłach podnoszących się ze spienionej wody. Skowyt jakiś, podobny do spazmu, bólu nadmiernego, chwytał ją; powracała do ludzi jeszcze bardziej szalejąca, nieprzytomna. Kurcz ją jakiś łamał, bo były chwile, że leżała jak martwa, skręcona w kłębek. Już sił nie miała do wycia, bo tylko jakiś charkot rozlegał się głucho w szumie spadających fal. Woda podnosiła się coraz wyżej, już tylko sam środek wysepki w trójkącie, najwyżej położony, bielił się jeszcze piaskami. Nad łąkami rozlegał się pisk czajek opuszczających gniazda i gęste opary.

Broń przyniosiono. Dziedzic długo mierzył w sam łeb i strzelił. Suka tylko się zwinęła i z grobli wpadła do wody, walczyła z falami, ale się jeszcze wydostała na brzeg i charcząc ciężko, uciekła w łąki.

Witek zlazł na ziemię i żałośnie patrzał w mrok.

— Tak obganiała źrebaki albo i świnie, skoda! — mruczał sklopotany utratą po-

winni zaniedbania, tak, iż zamiast dodawać podniety, raczej przystoi wynurzyć wam pochwałę, zarówno jak i tym wszystkim, którzy w nich z taką pilnością i pożytkiem pracują i nauczają. Zaiste, w czasach dla Kościoła tak trudnych, gdy nieprzyjaciele prawdy potężnieją, gdy zaraza zepsucia już nie potajemnie się szerzy, lecz otwarcie i bezczelnie we wszystko się wdziera, jeżeli większej ze strony duchowieństwa oczekiwać mamy energii i przeciwdziałania, większą też pilnością i wprawą przybrane ono być winno do podjęcia walki, do odpowiedniej we wszystkich cnotach dzielności. Wiecie dobrze, jakieśmy od czasu do czasu wskazywali zasady pod względem kierunku w wykładach, zwłaszcza w przedmiocie filozofii, teologii i Biblii: nalegajcie więc, aby wykładający stosowali się do nich z całą starannością, aby nadto nie zaniedbywali żadnej z pozostałych gałęzi wiedzy, które owym wyższym służą za ozdobę i czynności kapłańskie wysoce zalecają. Baczcie, aby przewodnicy karności i pobożności (mają to być ludzie ze wszechmiar nieposzlakowani i roztropni) taki nadawali życiu wspólnemu obrót, tak układali i ćwiczyli umysły alumnów, aby codziennie ujawniało się w nich pomnożenie cnót, ich powołaniu właściwych; niech też w zakres ich urobienia umysłowego i to wchodzi, aby z całą i pełną dojrzałości roztropnością dotykali się spraw, podlegających kompetencyi władzy świeckiej. Tym sposobem z tych świetnych jakoby fechtowni i obozów nowi wciąż wychodzić będą żołnierze, i to doskonale wyćwiczeni, aby zluzować pracujących w pocie i znoju, a wyczerpanych i wysłużonych świeżym zastąpić kontyngensem. Atoli w samem spełnianiu świętych czynności wiadomo, na jakie szkopuły trafia nawet wypróbowana cnota i jak dalece właściwem jest człowiekowi słabnąć w przedsięwzięciu, a nawet zupełnie ustawać. To też dokładajcie wszelkiego starania, aby duchowieństwo odświeżało i pomnażało raz nabytą wiedzę, szczególnie zaś, aby przez pokrzepienie (od czasu do czasu) sił duszy i swemu się oddawało udoskonaleniu i innym ku zbawieniu pomagało.

Jeżeli takie, należycie pod waszym nadzorem wychowane i wypróbowane mieć będziecie duchowieństwo, przekonacie się, Wielebni Bracia, jak urząd wasz pasterski stanie się nietylko lżejszym, ale nawet obfite i pożądane wśród wiernych przyniesie owoce, których właśnie zasobu oczekiwać można głównie od przykładu ze strony duchowieństwa i od jego czynem ujawnionej miłości.

Tej miłości prawo, wielkie w Chrystusie, niech będzie w cenie u wszystkich jakiegokolwiek stanu osób, i niech wszyscy starają się wykonywać je w czynie i prawdzie, jak zaleca Jan św. apostoł, żaden bowiem inny łącznik, żadna podpora nie może zapewnić tak rodzinie, jak państwu siły i trwałości, a co ważniejsza, żadna inna droga nie prowadzi do zdobycia sobie zasług prawdziwie chrześciańskich. Jakoż, rozważając z bólem serca wielostronne i nawet dotkliwe nieszczęścia, jakie z lekceważenia lub zaniedbania przykazu tego wynikają tak w dziedzinie życia publicznego, jak w stosunkach prywatnych — nieraz w tym przedmiocie głos Nasz Apostolski podnosiliśmy, osobliwie zaś w wydanem przez nas piśmie okólnem, zaczynającem się od słów: *Novarum rerum*, gdzie wykazaliśmy zasady, nadające się do słusznego i zgodnego z prawem Ewangelii rozstrzygnięcia sprawy robotniczej.

Tu więc ponownie je przypominamy i zalecamy. Doświadczenie przekonało, jak wielki wpływ mają na złagodzenie gorzkiego losu ubogich i na urabianie zdrowych śród ludu prostego pojęć instytucye katolickie, w duchu świętej miłości poczęte i prowadzone, cechy rzemieślnicze, stowarzyszenia wzajemnej pomocy i inne tym podobne urządzenia; kto zaś radą, powagą, groszem lub współdziałaniem przykłada się do pomyślności licznej rzeszy upośledzonych, ten nietylko dolę nieszczęśliwych osładza, nietylko z punktu obywatelskiego dobrze czyni, ale też i wobec religii się zasługuje.

Do tych uwag, dla całego narodu polskiego wypowiedzianych, uważamy za słuszne dodać pewne spostrzeżenia, które z pożytkiem w poszczególnych, przez was zamieszkanych dzielnicach dają się zastosować, przyczem pragnęlibyśmy niektóre z tylko co wypowiedzianych przestróg głębiej jeszcze wyryć w waszych umysłach.

Was przedewszystkiem, jako najliczniejszych, co Ruskiemu podlegacie berłu, słusznie Nam z tytułu wyznawstwa wiary katolickiej pochwalić i słowami zachęty pokrzepić wypada. Osią zachęty z Naszej strony jest, abyście wytrwale trzymali się i pielęgnowali w sobie tego ducha stałości w poszanowaniu skarbu wiary, w którym, jako w początku i źródle najwyższych dóbr osłodę czerpać możecie. Ten wzgląd umysł chrześciański najwyżej stawiać powinien; jego, jako rozkazu Bożego, popartego świetnym świętych ludzi przykładem, wbrew największym przeciwnościom strzedz i z całą usilnością trzymać się powinien i jego siłą wsparty, pociechy i otuchy, jakąkolwiek koleją rzeczy ludzkie pójdą, spokojnie, cierpliwie i niewzruszenie od Boga, który o wszystkiem pamięta, oczekiwać może.

Co do Nas, z urzędu Naszego doskonaleśmy świadomi, w jakim stanie sprawy wasze pozostają; wielce Nas cieszy ta ufność, jaką w Nas wzorem dobrych dziatek w tak przeważnej mierze pokładacie. To też przestrzegamy, abyście, nie dając posłuchu fałszywym wieściom, niegodziwie o Naszej względem was trosce i życzliwości rozsiewanym, nawskróś przejęli się przekonaniem, że niemniej jak poprzednicy Nasi, wytężamy usiłowania i pieczołowitość tak o was, jak o innych waszych rodakach; jesteśmy nawet gotowi podejmować wszystkie usiłowania i z nadzieją skutku je popierać, byle tylko zaufanie to w was podtrzymać. Tu miejsce przypomnieć, że od początku Naszego Pontyfikatu o podniesieniu sprawy katolickiej u was myśląc, weszliśmy w układy z Rządem Cesarskim, aby uzyskać rezultat, odpowiadający godności Stolicy Apostolskiej i zapewniający opiekę dla Waszych potrzeb kościelnych. Następstwem tych rokowań były ustanowione w r. 1882 pewne punkty ugodowe, a między innemi, że Biskupi będą mieli swobodę w zarządzaniu seminaryami duchownemi podług praw kanonicznych i że akademia duchowna w Petersburgu, do której wstęp ma także młodzież polska, pozostanie całkowicie pod jurysdykcyą Arcybiskupa mohylowskiego i ulegnie ku pożytkowi kleru i religii katolickiej odpowiedniej reformie; wynieśliśmy prócz tego przekonanie, że w czasie najkrótszym cofnięte lub złagodzone zostaną te prawa, na których surowość duchowieństwo wasze się skarżyło. Od owej pory nie przestaliśmy nigdy powoływać się na zawarte układy, czy to korzystając z nadarzonej sposobności, czy to wręcz szukając tejże. Co większa, przedstawienia te uznaliśmy za stosowne przełożyć samemu Przepotężnemu Cesarzowi, wiele licząc w waszej sprawie na dowiedzioną Jego dla Nas przyjaźń i wysokie poczucie sprawiedliwości, a i nadal nie zaniechamy od czasu do czasu zwracać się z takowemi przedstawieniami, nadewszystko polecając je Bogu, *w którego dłoni jest serce królewskie* *).

Wy zaś, Wielebni Bracia, współdziałajcie i nadal z nami w obronie godności i świętych praw wiary katolickiej, która wtedy odpowie swemu przeznaczeniu i spodziewane skutki dobroczynne sprowadzi, kiedy mając sobie zapewnioną swobodę i bezpieczeństwo, posiada odpowiednie środki do rozwinięcia swej działalności. Ponieważ zaś sami pojmujecie, jakiego dokładaliśmy i dokładamy starania około zabezpieczenia i utrzymania pomiędzy ludami pokoju i porządku

*) Przyp. XXI. 1.

---

mocnicy. „Co jej się stało? zeby sie choć przódy osceniła!“—medytował i łzy poczuł w oczach. Przerwali mu te myśli, wołając do pomagania przy zasuwaniu stawideł, bo przybór ustawał.

Gdy już odchodził, noc była zupełna i księżyc świecił. Cisza i mgły rozpościerały się nad siwiejącemi rozlaną wodą łąkami. Młyn tylko turkotał, a od dworu szły odgłosy skrzypienia wrót, czasem końskie rżenie nadbiegło z koniczyn, lub od wsi przejmujące tony piszczałek, albo jakieś splątane gwary. Witek popatrzył na łąki raz jeszcze, ale nic dojrzeć nie mógł, tylko jeszcze większa żałość zaczęła go gnieść i płacz go chwytał, więc poszedł na swoje legowisko do szopy, gdzie stały stare bryczki i różne niepotrzebne narzędzia gospodarskie. W starym, przegniłym wasągu sypiał razem z Finką.

Matka też wkrótce przyszła, przynosząc mu trochę zupy i kawałek mięsa.

— Mos tu, pochlipej se, jest ta i ćtucka, zidz se.

— Matulu, Finka się ano zepsuła. Dziadzie ją zastrzelili tero.

— Skoda sucyska. W połednie ją wołałam — nie przysła.

— Hale, i wcoraj nie była na paśniku ze mną.

— Moze się kaj osceniła i przy psiokach warowała.

— A kiej sie zepsuła.

— Boli cie jesce?

— Przeciek, ze boli.

— Ta suka piekło zrobiła w domu. Jewkę wyprała, gubernantkę odprawiła. Jantka jak zwaliła przycirkiem w łeb, to mu jojko nado ślipiem ano wysadziło— i pomstowała, jak nieboskie stwozynie. Loboga z taką przeklętnicą, gorse to lo ludzi, kiej tyn pies paskudny.

Gdy zjadł, okryła go starym szynelem i poszła.

Chłopak usnął, ale często się budził i krzyczał przez son: to na sukę, to na źrebaki, to gdzieś się rwał uciekać z płaczem, to pokrzykiwał wesoło i szeptał: Paninko — i cmokał ustami na konia — i znowu zasypiał cicho.

Już nad ranem, gdy szaro robiło się na świecie i kontury rzeczy zaczęły się w przedświcie wyraźniej odznaczać, a koguty piały donośnie, przebudziło go ciche skomlenie i lizanie po twarzy.

— Leżyć! — mruknął odruchowo i wyciągnął rękę, aby odgarnąć sukę od siebie; ale cofnął dłoń prędko, bo trafił na mokrą szerść. Rozbudził się zaraz zupełnie i uniósł na pościeli.

— Finka! — szepnął ze strachem. — Loboga Finka!

Suka leżała wyciągnięta i jęczała cicho, liżąc go po twarzy, szyi, piersiach. Dwa pstrokate szczenięta, zwinięte w kłębki, wisiały przy jej piersiach, całe zamazane krwią i błotem.

— Ona pewno do scynioków chciała się dostać, a podzieli ze sie zepsuła — szepnął głęboko rozrzewniony, gładząc ją po mokrym łbie, który mu kładła na piersiach i wyciągała coraz wyżej, dysząc.

— Finka! psisko moje, sucysko bidne, Finka! — szeptał przez łzy i obcierał nadołkiem koszuli jej bok krwawiący i obtulał jak mógł szynelem. Suka zamglonemi, zaciągniętemi żółtawo oczami patrzała w niego i rzężała ciężko — coraz ciężej. Wyprężała się w jakimś przedzgonnym dreszczu, potem zaczęła drżeć cała i nogami drapać, bezsilną gębą chwytała to szczeniaki, to Witka, skomlała cicho — polizała chłopca i dzieci, zawarczała przeciągle i skurczona skonała.

Witek już nie usnął i ogrzewając własnem ciepłem skostniałe psiaki, szeptał:

— Bidoki, siroty! Przeniesła waju bez rzykę do mnie — to lepse, kiej drugi człowiek.

Rano, gdy wyganiał źrebaki na pastwisko, wsadził szczenięta sobie za pazuchę, ostrożnie je ułożył i z jakimś ojcowskim akcentem w głosie powiedział:

— Nie bójta się, jo wos wymamcę — bedzieta i wy jesce obganiać źruboki albo i świnie.

KONIEC.

publicznego, nie przestawajcie wytężać usiłowań nad utrwaleniem wśród kleru i ogółu poszanowania dla zwierzchności i przestrzegania karności publicznej; tak zaś usuwając wszelką przyczynę do obwinień i strofowań, zamieniając wszelki pozór do zarzutów na uczucie szacunku, jednajcie i potęgujcie uznanie dla imienia katolickiego.

Poczuwajcie się też do stosownych zarządzeń, aby wierni nie doznawali zaniedbania w przedmiocie zbawienia swych dusz, a więc w obsłudze parafialnej, w podawaniu pokarmu słowa Bożego; w podtrzymywaniu ducha pobożności, aby dzieci i młodzież, zwłaszcza w szkołach, starannie były katechizowane, i to o ile można przez kapłanów od was do tego prawowicie przeznaczonych; aby zdobność kościołów i należne świąt obchodzenie odpowiadały godnie czci Bożej, z tego bowiem wiara rozrost swój czerpie. Nader też słusznie uczynicie, zapobiegając niebezpieczeństwom, gdyby w tej mierze jakie dostrzedz się dały; i dlatego bez wahania powołujcie się ze stanowczością i roztropnością na owe ze Stolicą Apostolską zawarte układy.

Uchronić się tego rodzaju niebezpieczeństw, a dopiąć odpowiednich korzyści pożądanem naturalnie być powinno nietylko dla polaków, ale dla każdego, kogo ożywia szczera miłość dobra społecznego. Kościół bowiem katolicki, jakeśmy to na czele tej odezwy wykazali i jak to dzień każdy stwierdza, takiemi się rządzi zasadami, iż państw i ludów nietylko nie przyprawia o szkody, ale przeciw nie przysparza im różnorodnych i cennych korzyści, nawet w sferze interesów doczesnych.

Wy, następnie, podlegający przesławnemu domowi Habsburskiemu, miejcie na baczeniu, ile zawdzięczacie Dostojnemu Cesarzowi, w najwyższym stopniu do wiary przodków przywiązanemu. Udowodniajcie tedy z każdym dniem jawniej swą względem Niego wierność i pełną wdzięczności uległość; okazujcie również gorliwość w wykonywaniu wszystkiego, co dla pomyślności i uświetnienia religii albo już zostało wprowadzonem, albo co czas i okoliczność wprowadzić radzą.

Wielce pragniemy, aby Uniwersytet Krakowski, starożytny i rozgłośny rozsadnik umiejętności, strzegł tych tradycyj nieskazitelności i świetności, jakie sobie zdobył; aby też szedł w zawody z temi wszechnicami, które za naszem poparciem znakomita biskupów zabiegliwość i hojność osób prywatnych w znacznej liczbie do życia powołała. Jak w tych uczelniach, tak i w waszej, pod umiejętnym kierunkiem drogiego Nam Syna Kardynała Biskupa, wszystkie celniejsze gałęzie wiedzy, w przyjaznej pozostając zgodzie z wiarą i wywzajemniając się jej za promienie światła i gruntu moralnego — poparciem i obroną, bodajby wzorowej młodzieży coraz większą w każdym razie przynosiły korzyść!

Gorąco was też obchodzić powinno, Nas zaiste obchodzi to w stopniu najwyższym, aby zakony cieszyły się śród was powszechną wziętością; one bowiem, mając za sobą doskonałość życia cnotliwego, zasługę z uprawiania różnych umiejętności, długie pasmo pracy skutecznej około wykształcenia umysłów, stanowią jakoby armię posiłkową, gotową na rozporządzenie Kościoła, a i państwa po wsze czasy do ich pomocy w najszlachetniejszych zadaniach ze skutkiem się uciekały. Uwzględniając w szczególności Galicyę, z największem uznaniem wspominamy prastary zakon Bazyliański, ku dźwignięciu którego sami pewne środki i starania od dość dawnego czasu podjęliśmy. A niemały owoc zadowolenia stąd zbieramy, że tenże, oczekiwaniu Naszemu z zapałem odpowiadając, raźnie zmierza do odzyskania chwały przeszłych wieków, kiedy to do pomyślności Kościoła rusińskiego pod wielu względami się przyłożył, tychże zaś zasług przy czujności biskupów i skrzętności kapłanów w coraz większej mierze po nim rokować sobie można.

Tu zaś, skoro mowa o rusinach, nie możemy nie powtórzyć zachęty, abyście z nimi, lubo odmienni pochodzeniem i obrządkiem, najściślejszą zachowywali zgodę i miłość, jak przystoi na tych, których jednoczy miejsce zamieszkania, przynależność państwowa i osobliwie wspólność wiary świętej. Jak bowiem Kościół za prawowitych poczytuje ich synów i miłością otacza, tudzież pozostawia im w swej mądrości uprawnione zwyczaje i właściwe obrzędy, tak też i wy z duchowieństwem na przedzie uważajcie ich i traktujcie jako braci, stanowiących jedno ciało i jedną ożywionych duszą i do tego ostatecznie zmierzających, aby wzrastała chwała Pana Boga i pomnażał się wszelki owoc sprawiedliwości w „piękności pokoju.“

Chętnie też zwracamy się do was, co zamieszkujecie prowincyę Poznańską i Gnieźnieńską. Miło Nam bowiem wspomnieć między innemi, iż z łona ziomków waszych, jakeście tego wszyscy pragnęli, na znakomitą św. Wojciecha stolicę wynieśliśmy męża, odznaczającego się pobożnością, roztropnością i miłością. Milej zaś jeszcze widzieć, z jakiem posłuszeństwem i przywiązaniem łagodnym jego a czynnym rządom jednomyślnie sprzyjacie; pozwala to mieć nadzieję, że stan sprawy katolickiej będzie u was coraz pomyślniejszy.

Aby zaś nadzieję tę na tem pewniejszych oprzeć podstawach i pełniejszego oczekiwać spełnienia życzeń, nie bez przyczyny zalecamy wam ufność w wielkoduszną sprawiedliwość Cesarza, o jego bowiem względem was przychylności i życzliwem usposobieniu osobiście od Niego samego powzięliśmy wiadomość, a ta życzliwość może wam przynieść dotykalne skutki, byleście szanowali prawa i stali wytrwale na chrześciańskim gruncie dobrych uczynków.

Te, Wielebni Bracia, przepisy i przestrogi każdy z was trzodom swym w taki sposób oznajmijcie, aby za waszem staraniem tem skuteczniej mogły oddziałać na umysły wiernych. Niech się z nich dowiedzą ukochane dziatki Nasze, jak wielkie ku nim żywimy uczucie miłości, oni zaś, jak tego pragniemy, niech wysłuchają głosu Naszego z równąż miłością i poszanowaniem. A jeśli je, jakeśmy tego pewni, pilnie i statecznie zechcą zachowywać, potrafią niechybnie udaremniać ciosy, grożące w tych ciężkich warunkach wierze, przechowają wiekopomne, zaszczytne przymioty przodków, tudzież wskrzeszą w sobie pamięć ich ducha i pięknych przykładów, za czem pójdą nieobliczone korzyści ku osłonie tego nawet doczesnego żywota.

Szukajcie też wraz z Nami pomocy Bożej w gorących prośbach o wstawiennictwo do Pana Niebios, Najświętszej Maryi Panny i świętego Józefa, którego uroczystość świat dziś obchodzi, oraz świętych polskich patronów. Jako rękojmię tych życzeń i wyraz osobliwej Naszej przychylności: wam kapłanom i ludowi waszej pieczy oddanemu udzielamy miłościwie w Panu błogosławieństwa Apostolskiego.

Dan w Rzymie u św. Piotra 19 marca roku 1894, Pontyfikatu Naszego 17-go.

Leon XIII, Papież.

LITERATURA I SZTUKA.

EWOLUCYA LITERATURY.

Wymagania względem pewnej książki zależą od tego, z jakiego punktu przypatrujemy się jej zadaniom. Są dzieła, przeznaczone dla szerokiego ogółu, które mają poznajomić go z ostatecznymi wynikami, jakie nauka zdobyła w pewnej dziedzinie wiedzy, lub z nowemi jej drogami. Od takiej pracy nie żądamy zbyt wielkiego zapasu faktów, ale tego, ażeby z pośród zgromadzonego materyału wybrała objawy najcharakterystyczniejsze i na ich podstawie nakreśliła coś jasnego, dającego czytelnikowi jakieś wyraźne wrażenie. Wprawdzie nie zawsze będzie ono w zupełnej zgodzie z rzeczywistością, gdzie wszystko się płącze, granice się zacierają i jedne rysy przechodzą zwolna w inne, wprost sprzeczne, ale za to, bądź co bądź, zyskamy nić przewodnią do dalszego oryentowania się w mieniącej się powodzi faktów. Specyalista znowu wymaga czegoś innego, jeśli książka ma uchodzić w jego oczach za cenny wkład do skarbnicy wiedzy, mianowicie wyłuskania nowych faktów i wyczerpania dawnych, przedewszystkiem zaś krytycznej oceny źródeł. Mniej mu zależy na tem, ażeby droga zostało wytknięta, więcej zaś, ażeby nagromadzono w dobrym gatunku materyał do dalszego jej torowania.

Z jakiego tedy stanowiska mamy sądzić prace Karola Letourneau'a, a między niemi najnowszą *), poświęconą ewolucyi literackiej? Czy stanowią one istotnie jakiś nowy a cenny przyczynek do naszej wiedzy o przeszłości dziejów ludzkich? Przyznam się, że osobiście prace te nie zadawalają mnie pod żadnym względem. Może w swojej ojczyźnie, bardzo upośledzonej w tym rodzaju studyów, pracownik ten wskazuje nauce nowe ścieżki; może wpływa tam on dodatnio na rozbudzenie zamiłowania do poszukiwań socyologicznych, prace jego wszakże w dzisiejszej literaturze międzynarodowej tego przedmiotu bynajmniej nie stawiają nowych drogowskazów. Specyalista może ich nie tknąć i na tem nic nie straci. Nie znajdzie nawet oceny źródeł, Letourneau bowiem zaledwie zaczyna być w epoce naszych Naruszewiczów, którzy dopiero przeczuwali, że nie każdemu świadectwu historycznemu godzi się ufać ślepo i że najpierwszym fundamentem postępu jest w istniejącym materyale oddzielać ziarno od plewy. Wciąż mamy u niego, również i w najnowszej książce, do czynienia z bajeczkami, które już czas usunąć z prac poważnych, że australczycy nie posiadają wyrazów na oddanie naszych pojęć o sprawiedliwości, przestępstwie i in., że buszmeni nie mogą z sobą porozumiewać się wśród mroków nocnych, bo ciemność nie pozwala na odróżnianie gestów, bez których mowa ich jest niezrozumiałą! Nadto i przedmiot nie został wyczerpany; o tak bogatej np. epopei koczowników turańskich nie wiele więcej wiemy po przeczytaniu książki aniżeli przed tem. Zwykły znowu czytelnik z pracy tego socyologa nie wyniesie żadnej wskazówki nowej. Przed kilku laty wyszła o tym samym przedmiocie, tj. o porównawczym rozwoju literatury, książka Macaulaya Posnetta. Niewiele tam znajdziemy faktów, ale każdy z nich jest wybitny i umiejętnie dobrany, tak, iż praca uczonego angielskiego jest niezwykle posilną strawą umysłową. W zestawieniu z nią *Ewolucya literatury* wygląda nader niepokaźnie, jeżeli zaś posiada pewne zalety, to tylko tę, że Letourneau przyjął wszystkie podstawowe założenia Posnetta i jedynie popiera je większym zasobem dowodów. Ale ten wpływ uwydatnił się w sposób wielce charakterystyczny. We wszystkich swoich wieloarkuszowych „Ewolucyach“ uczony francuski hołduje zasadzie klasyfikacyi faktów na podstawie rasowej. W każdej z nich naprzód wyprowadza na sceną grupę czarną, która niby maryonetka wykonywa pewną liczbę ruchów i wtedy ustępuje miejsca mongolskiej, na ostatku zaś zjawiają się rasy białe. Ciągłość rozwoju społecznego zostaje w ten sposób zamieniona na istotną siekankę objawów bez związku rodowodowego. A jednak jest pewna dziedzina rozwoju, gdzie wpływ rasy uwydatnia się mocniej, niż gdziekolwiek indziej, mianowicie w zakresie uzdolnień artystycznych. Ale tu Letourneau nas zawodzi, bo zamiast przedstawienia jakiejś przyczynowej zależności pomiędzy rasą a literaturą, pomija ją i rubryk rasowych używa znowu niby szafek do nagromadzenia cytat z różnych autorów. Tymczasem wszystkie uo-

*) Ch. Letourneau. *Evolution litéraire dans les diverses races humaines* (tom XV Biblioteki antropologicznej). Paryż.

gólnienia, te właśnie, które pozostaną w umyśle czytelnika, są uskuteczniono bez uwzględnienia czynnika rasowości, który zostaje wzięty jakby za nawias, rozwój zaś samej literatury jest tak przedstawiony, że odbywa się pod wpływem i w zależności jedynie od stosunków społecznych. Po cóż więc owe szafki? Literatura, zdaniem autora, jest niby zwierciadłem, odbijającem w sobie stosunki gromadzkie, wśród których człowiek przebywa. A dotyczy to nietylko jej treści, ale nawet formy i techniki. Tymczasem rubryki rasowe rozbijają wciąż tę ciągłość. Szablon mści się i zrywa nić przewodnią.

Przyjrzyjmy się zblizka tym ogólniejszym wywodom, zaznaczywszy z góry, że stanowią one wkład do nauki ze strony Posnetta i że socyolog francuski jedynie zastosował cudzą zasadę do liczniejszych zakątków globu ziemskiego i rodowód literatury związał, zresztą dość luźnie, z przeszłością organiczną naszego rodu, bo sięgnął aż do odruchu rytmicznego komórki nerwowej u pra-człowieka.

Mowę członkowaną poprzedził w rozwoju śpiew, ściślej mówiąc: głos modulowany, co wskazują właściwości mowy pierwotnej oraz kształcenie się jej u dziecka. Ów głos bywał uzupełniany przez odpowiednie giesty. Estetyka pierwotna polega na ścisłem zespoleniu giestów z takiemi dźwiękami i wykrzykiwaniami, z których ostatnim szczątkiem są tak zwane „refrains,“ w rodzaju *tra la-la*, tak częste zwłaszcza w piosenkach ludowych. Ukazanie się w literaturze członkowanej mowy nierytmicznej odbywało się zwolna i z niezmierną trudnością. Przypatrując się niższym grupom rodu ludzkiego, możemy niemal krok za krokiem badać rozwój w tym kierunku. Niekiedy cała piosenka dzikiego zawiera się w wydawaniu takiego okrzyku, którego podobiznę mamy w naszej strofie: „dana moja, od dana!“—stanowiącej jedyną zawartość śpiewki; to powtarzaną bywa jedna tylko zgłoska, albo wyraz; to znowu jakiś wyraz idzie w parze z innym, ale bywa wciąż używany, sama zaś piosenka składa się zaledwie z jednego lub dwóch zdań. Wreszcie zwolna słowo członkowane brało górę nad tradycyami przeszłości, która uwydatnia się jednak w stworzeniu rozmiaru metrycznego. W chórach pierwotnych ów rozmiar panuje jeszcze wszechwładnie, wyrazy do niego muszą się stosować, początkowo w sposób bardzo niedoskonały, wciąż uciekając się do pomocy wykrzykników bez sensu, byleby tylko miara została zachowaną i przerwy zapełnione. Nasza opera jeszcze w bardzo wysokim stopniu przedstawia w teraźniejszości tę niedołężną przeszłość. Przytem wyrazom i dźwiękom towarzyszy mimika. Rytmiczna, miarowa odruchowość — oto zasadnicze piętno pierwotnej estetyki.

Wyzwolenie się to z jarzma starodawnych tradycyj rytmicznego a wszechstronnego odruchu nerwowego odbywa się w zależności od rozwoju stosunków społecznych. Estetyka przebywa różne fazy, które znajdują się w najściślejszym związku z ustrojem pożycia gromadzkiego. Literatura pierwotna nosi na sobie cechy tego solidarnego klanu, który stanowi podstawę dzikiego i półbarbarzyńskiego społeczeństw. Klan jest drobną grupą, w której czyny indywidualne są podporządkowane interesom ogółu, własność — mniej lub więcej zbiorową, stosunki małżeńskie poddane zasadom, które w naszych oczach wyglądają dość dziwnie. Otóż w takich warunkach niema zgoła miejsca na literaturę osobistą, indywidualną, utwory literackie z konieczności przyjmują formę widowiska zbiorowego, owych oper-baletów, w których członkowie klanu są jednocześnie widzami i aktorami, śpiew zaś łączy się z ruchem. Muzyka pierwiastkowo odgrywa w tych przedstawieniach rolę bardzo nieznaczną, instrumenty są proste i hałaśliwe, skala tonów jest nieznaczna, miara bywa wybijana za pomocą kija o ziemię; na wyższym stopniu rozwoju zjawia się bęben, będący jedynie udoskonalonym sposobem tejże czynności. I przedmiot widowisk klanowych jest nawskroś nieosobowy. Widzimy tam sceny myśliwskie, wojenne, pogrzebowe, gdzie jednostka zaciera się zupełnie w tłumie chóralnym. Ale rozwój społeczny nie drzemie, pierwotna solidarność w klanie rozluźnia się z biegiem czasu, powstają antagonizmy pomiędzy słabym a silnym, bogatym a biednym. Gwałty, dokonywane w drobnem społeczeństwie przez jednych, krzywdy, pod których ciosami padają inni, wywołują nowe uczucia, zbyt indywidualnej natury, ażeby zdołały zmieścić się w ramkach widowiska zbiorowego. Własność staje się coraz bardziej ograniczoną, jako też natura stosunków małżeńskich, ze swobodą zaś płciową, która ustaje, objawia się protest instynktu miłosnego, który w duszy ludzkiej budzi nowe, niezwykle silne a nawskroś indywidualne namiętności. Słowem, w miarę rozluźniania się archaicznego komunizmu, zjawia się na świat liryka, która odtąd wciąż będzie się rozwijała. Wraz z nią zaś ukazuje się potrzeba zgoła nowych instrumentów, zdolnych do uchwycenia najdelikatniejszych odcieni smutku i namiętności.

Owe hałaśliwe bębny, tak licujące z widowiskiem zbiorowem w dzikim klanie, owe krzykliwe trąby, zdolne do wydawania zaledwie kilku tonów, stają się zbyt grubiańskiemi narzędziami, ażeby oddać złożoną gamę duszy ludzkiej, która wystąpiła w procesie rozkładającej się solidarności pierwotnej. Instrumenty, polegające na zasadzie struny, jedynie odpowiedzieć mogą przebudzonej potrzebie—jakoż ukazują się. I dawne widowisko zbiorowe przekształca się, zamiast chórów coraz większa rola przypada wyodrębnionej jednostce ludzkiej. Rozwój zaś społeczny, powołując do życia hierarchię państwową i kościelną, oraz stwarzając zamiast pierwotnego politeizmu stosunki monarchiczne w sferze bóstw, wysuwa naprzód pojedyncze postacie, które mogą w zupełności zastąpić dawne chóry niezróżniczkowane. Powstaje dramat bohaterski. Indywidualizm wkracza ze wszech stron do estetyki, stwarza indywidualne pieśni liryczne, malujące stan pojedynczej duszy, ody i hymny, oraz dramat bohaterski; później zaś, kiedy sam tryb życia zostanie zróżniczkowany i zamiast kolektywnych wypraw wojennych i zajęć rolnych zjawi się różnobarwna praca zarobkowa, w której każdy będzie działał niezależnie od innych, naówczas powstaną jeszcze dalej idące utwory literackie. Śpiew wyodrębni się od słowa, giest oddzieli się od opowieści — wystąpi powieść i opowiadanie.

Tak wygląda ogólna nić wywodów socyologa francuskiego. Rozwój społeczny, według niego, rządzi wszechwładnie rozwojem literackim, który jedynie odźwierciedla bieg tamtego. I chwila obecna nie stanowi wyjątku w tej mierze. „Literatura w obecnej chwili — powiada Letourneau w końcowym ustępie swojego dzieła — przypomina dzisiejsze stosunki społeczne. Wyswobodziła się ona ze starodawnych powijaków, lecz sama nie wie, dokąd idzie. Żyje z dnia na dzień, w zupełnej anarchii. Nasi pisarze tworzą poezyę, która nie odpowiada żadnemu ogólnemu uczuciu, żadnemu popędowi społecznemu — poezyę dyletancką. Nasz dzisiejszy realizm wypływa wprawdzie z chęci wyjścia z tego stanu rzeczy, ale nie mając jasnych dróg, poprzestaje na braniu, a nawet na fotografowaniu pewnych obrazów, rzadko najlepszych i najpiękniejszych. Stalibyśmy w przededniu upadku literackiego, gdybyśmy nie czuli jakiegoś prądu naprzód w społeczeństwie, który musi oddziałać też na literaturę. Jak we wszystkich epokach upadku, forma jest więcej ceniona, aniżeli treść. Dźwięczność i inne drobiazgi podobnej natury zwalniają pisarza od posiadania zdrowego rozsądku.“ Letourneau ten upadek literacki, jak wiemy, przypisuje nadmiernemu zapanowaniu w społeczeństwie zasad indywidualizmu. Sądzi, że rozwój dalszy poprowadzi nas w kierunku zwiększonego poczucia wzajemnej solidarności i zgodnie z tem mniema, że literatura przyszłości przyjmie odpowiednie formy. „Obawiam się, że krytycy przyszłości obejdą się bardzo surowo z naszą literaturą tegoczesną. Tylko bzdurstwo i byle grubiaństwo! Tylu poetów, niezdolnych do zapomnienia o swojej mizernej osobie; tylu pisarzy, z taką śmieszną drobiazgowością opowiadających o bardzo podrzędnych stanach duchowych, które ukazują się w ich sercu lub umyśle i które tylko dlatego wydają im się tak wielkie, ponieważ badają je oni pod mikroskopem sobkostwa!“

K.

LITERATURA ANGIELSKA.

Barnett Smith: *Women of renown* 1893. — L. Stevenson: *D-r Jekyll and Mr. Hyde.* — G. Du Maurier: *Peter Ibbetson.*

„Kobieta jest kłamstwem natury“ — rzekł Arystoteles, z punktu widzenia mężczyzny. Jej mózg bowiem zupełnie inaczej pracuje od naszego. Podziwiamy często potęgę jej instynktów, jak ona jest nieomylna w rozróżnianiu dobra od zła, w określaniu obowiązku i cnoty, zwłaszcza swej własnej.

Są to istoty łatwo podatne suggestyi i dlatego nawskroś społeczne, powiedziałbym — moralne. Zajrzyjcie do serca grzesznicy, znajdziecie tam zawsze żal i możność skruchy, gdyż ona dobrze wie, na czem polega jej wina. Popchnęły ją ku niej okoliczności, cudza wola, nędza — w najgłębszych otchłaniach marzy ona o tem, aby powrócić na łono „porządku.“

Ten konserwatyzm zauważyć można w najzdolniejszych, w najbardziej radykalnych. Dowodem G. Elliot. Urodziła się w r. 1819. Ojciec jej, Robert Evons, człowiek prawy, silnego charakteru, był wzorem dla Adama Beve i Caleba Bartha, najukochańszych bohaterów autorki. W młodości była nadzwyczaj religijną, książki jednak i znajomość osobista kilku racyonalistów (Karol Bray, K. Hennel) nadwyrężyły w niej wiarę. W roku 1846 znajdujemy ją zupełnie wolnomyślną. Tłomaczy dzieło Straussa i „Etykę“ Spinozy. W roku 1849 odumarł ją ojciec, matka zstąpiła do grobu daleko wcześniej, opuszcza więc prowincyę, udaje się do Londynu, wstępuje jako współpracowniczka do *Westminster Review*. Tu poznała H. Lewesa, pokochała go i, zrywając z tradycyami moralności bieżącej, zamieszkała z nim bez ślubu. Ten czyn, przedstawiający zresztą tylko zwykłą logikę jej filozofii, trapił tę bohaterską duszę aż do śmierci; dzieła jej noszą wymowne ślady goryczy, jaką on ją przepełniał. Pozbawiona śmiałości swych postępków, wszędzie potępia podobne związki. I wreszcie, na progu śmierci, sześćdziesięciokilkoletnią staruszką wyszła za młodego człowieka, niejakiego Crossa — i to tylko w tym celu, „aby uregulować sytuacyę.“ A więc ta kobieta o europejskiem imieniu, myślicielka, filozofka — czuła taką potrzebę pozbycia się swego nazwiska i przybrania cudzego (jakiejś pani Cross!), iż nie powstrzymała się przed okrutną śmiesznością. Taką chęć rozpostarcia się przed uwielbianym przez masę krokodylem miała ta „wielka kobieta,“ „o potęż-

nym charakterze,“ „genialnym umyśle“ etc. etc. Można sobie łatwo wyobrazić, jakie męczarnie to nieszczęsne stworzenie przechodziło za życia z powodu swego „upadku.“

Nie mniejszą konsekwencyą i energią odznaczały się jej poglądy filozoficzne. Że kobiety są zwykle gorącemi zwolenniczkami religii niewolników, w tem niema nic dziwnego, to im nawet zaszczyt przynosi. Stanowisko G. Elliot pod tym względem było niewyraźne. Pisała np.: „prawdziwą religią ludzkości jest religia Chrystusa. Wszystkie systemy filozofów nowożytnych nie zastąpią jej nigdy i wszystkie ich systemy pozostają daleko niżej od prostoty boskiej, wielkości i miłości powszechnej, objawionej przez założyciela Chrześciaństwa.“ Nie przeczymy, ale w takim razie na co te kokieterye z materyalizmem, mizdrzenia się do pozytywizmów, w które G. Elliot przez całe życie była tak obfitą?

Uwagi te nasuwa nam książka B. Smitha, uczonego autora „Historyi parlamentu angielskiego“ o znakomitych kobietach. Oprócz G. Elliot jest tu szkic o G. Sand, o Fryderyce Bremer i Maryi Carpenter— dwu słynnych filantropkach — o artystkach Jenny Lind i Racheli, o uczonej Maryi Sommerville.

Autor tym wyborem chciał widocznie okazać, jak rozmaite są zdolności płci żeńskiej, iż ona nie ustępuje męzkiej połowie rodzaju ludzkiego ani energią moralną, ani potęgą władz umysłu i wyobraźni. Tak jest bez wątpienia. Niższość kobiety polega tylko na jej braku inicyatywy — co jest skutkiem naturalnym opieki, pod którą dotychczas się znajdowała. Skarżymy się, iż niema śród nich geniuszów. Alcż i ród męzki w ciągu ostatniego trzydziestolecia nie wydał ani jednego.

Zdaniem naszem, jest to prosty skutek atmosfery moralnej, jaką wytwarza demokracya, tłumiąca indywidualizmy. Maluczko, a kobieta będzie we wszystkiem zupełnie równą mężczyźnie.

Opowiadania Hoffmana są pod względem fantastyczności niczem w porównaniu z tymi polotami wyobraźni, jakim się oddają niektórzy powieściopisarze, wychodząc z założeń teoryi hypnotycznych i spirytystycznych. We Francyi grunt ten—obecnie nader popłatny — jest wyzyskiwany przez G. A. Thierrego, Peladana, Henniquc'a, Huysmansa i innych, a i w Anglii ma już liczne koło przedstawicieli.

Obrzydzenie dla realizmu i smak budzący się do fantastycznych przygód grają w tym ruchu rolę pierwszorzędną, gdyż teorye hypnotyczne są zwykle przez odnośnych pisarzy niemiłosiernie naciągane i przesadzane. Zwłaszcza w Anglii.

Oto np. L. Stevenson w swojej powieści „Dr. Jekyll and M-r Hyde,“ wychodząc z założenia czysto naukowego o rozdwojeniu osobowości, buduje na niem następującą, nieprawdopodobną powieść. Dr. Jekyll, uczony medyk, zrobił odkrycie nader fantastyczne: wynalazł płyn, który ma tę cudowną własność, iż po wypiciu kilku kropel następuje rozdwojenie: osoba pierwotna, dr. Jekyll zasypia, na jej zaś miejsce występuje inna, przedstawiająca sumę wszystkich złych i poziomych instynktów tamtego. Ochrzciła ona samą siebie imieniem: M-r Hyde. Zmianie moralnej odpowiada także zmiana fizyczna: Hyde jest daleko niższym i młodszym od Jekylla, tak, iż nikt naszego doktora w jego formie wtórnej poznać nie może. Aby prowadzić życie podwójne, wynajął, jako Hyde, osobny apartament i oddaje się pijaństwu, rozpuście, wszystkim złym popędom swej natury, w stanie naturalnym tłamionym, lub przynajmniej, dobrze zamaskowanym. Ale ten tryb życia nieregularny wywołuje z czasem zaburzenia w duszy Jekylla, siły opadają, energia się zużywa, chciałby się uwolnić od swego nałogu, ale, niestety, jest już zbyt późno. Trzeba było dopiero wypadku nadzwyczajnego, aby go powstrzymać na pewien czas od przyjmowania płynu, sprawiającego rozdwojenie. A mianowicie, dr. Jekyll, znajdując się razu pewnego w stanie Hydego i będąc zarazem nie zupełnie trzeźwy, zabił kogoś w kłótni. Żeby nie być poznany musiał szybko przybrać pierwotną swą postać, której już dobrowolnie nie opuszczał. Ale organizm, sztucznie przyzwyczajony do tych transformacyi, zaczyna je sam odprawiać: nasz doktór budzi się często w stanie wtórnym i musi używać wielkich wysiłków, aby powrócić do pierwotnego. Trudności te coraz się zwiększają, nareszcie następuje chwila, gdy nie może już się pozbyć zapożyczonej postaci, przyjmuje truciznę i pisze testament, w którym wszystko wyjaśnia.

Opowiadanie to nie budzi w nas bynajmniej dreszczów strachu, o które autorowi chodzi. Daleko lepiej cel ten osiąga Poe pierwszym lepszym wierszem, np. gdy w alei cyprysowej lub w lesie nawiedzonym przez strzygi, błąka się z niespokojną swą duszą, ze swą Psyche, która drży, wlokąc po kurzu opadłe swe skrzydła, a tam, w niebiosach brylantowa Astarta leje światło sybilińskie.

Kwestye snu, obcowania na odległości, tajemniczych wpływów na cudzą wolę także nie zostały pozostawione przez powieściopisarzy-psychologów w spokoju. Na tych danych oparta jest powieść G. Du Mauriera p. t. „Peter Ibbetson.“ Bohater spędził lata młodzieńcze pod Paryżem, w Passy. Towarzyszką jego zabaw ówczesnych była Marya Seraskiew. Po wielu latach odnajduje ją w osobie owdowiałej księżny Towers. Spotykają się z rodziną, a gdy następnie wracają każdy do swego domu i udają się spać, swawolna pamięć uśpionych odnawia im rozkoszne obrazy wspólnie spędzonej młodości. To marzenie senne „materyalizuje się“ — jak powiadają spirytyści — i nasi bohaterowie żyją w życiu wtórnem, które jest jakby wskrzeszeniem ich dzieciństwa.

Zakochani spotykają się w ten sposób każdej nocy na oddaleniu, we śnie. To obcowanie duchowe nie wymaga od nich nawet wspólności wspomnień. Dość, aby pamięć lub wyobraźnia jednego z nich pracowała, a drugi natychmiast odtwarza odnośne stany duchowe. Księżna np. śni o balach, na których bywała, a Ibbetson widzi tancerzy, w rzęsiście oświetlonych salach, przy dźwiękach muzyki i zapachu kwiatów.

Tymczasem nasz bohater w życiu realnem zabija stryja, za co skazany został na ciężkie roboty. Okoliczność ta wszakże bynajmniej nie przerywa obcowania duchowego zakochanych, rozdzielonych olbrzymią przestrzenią i więzieniem. Po wyczerpaniu wspomnień osobistych, których nawzajem sobie udzielili, przechodzą po kolei do wspomnień z życia swych przodków, gdyż pamięć zdaniem autora jest stanem organicznym, przechodzącym drogą dziedziczności. To wprowadzenie darwinizmu, w formie tak niebezpiecznej, do powieści, wcale nie zadziwia, wobec innych nieprawdopodobieństw, obficie rozrzuconych. Jest rzeczą uznaną w Anglii, iż Du Maurier, równie jak i Stevenson, są ludźmi znacznego talentu, a zaraza moralna, której podlegają jest charakterystyczną dla naszych czasów. Kto wie, czy poezya, porzuciwszy niesmaczne elukubracye z podkładem naukowym, nie zboczy w sferę czystej fantastyczności. Będzie to rzecz pocieszająca, gdyż obecna łatanina więzi tylko wyobraźnię, nie zadawalając umysłu. A jeżeli poezya chce koniecznie uciec od rzeczywistości, niechaj to czyni w sposób artystyczny.

L. W.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— W. Seweryn. *Leczenie cholery* (str. 16, Warszawa). Autor wykłada sposoby leczenia cholery (opiata) sposobem tak stanowczym, jak gdyby ona już niewiele nasuwała mu wątpliwości.

— *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł zeszyt 34, który zawiera dalszy ciąg artykułu „Handel zbożem.“

— *Pism Jordana* (J. Wieniawskiego) wyszły dwa tomy. O działalności pisarskiej i talencie tego autora pomówimy szczegółowiej.

— Literaturę dla młodzieży pomnożyła p. Z. Urbanowska utworem p. t. *Atlanta czyli przygody młodego chłopca na wyspie tajemniczej.* Jest to jak gdyby dalszy ciąg pracy p. M. Zaleskiej *Niezgodni królewicze.* Fantastyczne opowiadanie w formie listów do redakcyi *Wieczorów rodzinnych* usiłuje zaznajomić młodych czytelników z niektórymi faktami przyrodniczymi.

— W Petersburgu wydana została książka zbiorowa na cel dobroczynny p. t. *Charitas.*

— P. Jadwiga Izdebska rozpoczęła drukować zeszytami (nakład Olawskiego) poradnik kucharski p. t. *Młoda gosposia.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁA I ŻYCIE.

Ostatnimi czasy zaszły dwa fakty, które dają powód do wysnucia poważnych wniosków, związanych z życiem i jego potrzebami. Rozesłano okólnik o pracy ręcznej w szkołach, następnie kwestyonaryusz z zapytaniem: jakie z istniejących szkół mają być przekształcone na zakłady nowego typu i w jakich miejscowościach jest to potrzebne? Oba te objawy wykazują dążność przystosowania szkoły do istotnych potrzeb życiowych. Od lat kilku w niektórych zakładach naukowych (pod kierunkiem ministeryum oświaty) wprowadzono już pracę ręczną, chociaż nieobowiązkową. Obecnie okólnik zaleca kuratorom okręgowym szczególny nacisk na ten dział nauki tam, gdzie młodzież przysposabia się do pracy praktycznej, a więc przedewszystkiem w szkołach miejskich i dwuklasowych wiejskich. Wykład należy powierzać specyalnym nauczycielom, odpowiednio uzdolnionym w szkołach właściwych lub na czasowych kursach pracy ręcznej. W tym celu ministeryum oświaty postara się o udzielenie ze skarbu sumy na organizacyę pracy ręcznej w szkołach. Nadto, przy wydziale komitetu naukowego do spraw wychowania technicznego i fachowego utworzono oddzielną komisyę dla rozważenia wykładów pracy ręcznej w szkołach pod zarządem ministeryum oświaty.

Na zachodzie Europy dążność w tym zakresie od dawna już się rozbudziła. W Anglii odpowiednie wnioski podawano jeszcze przy końcu XVII wieku i na początku XVIII. We Włoszech również przy końcu XVII w. wprowadzono naukę rzemiosł w domach sierot i przytułkach, tudzież założono instytut z pracą ręczną w jego programie. Ruch ten dzisiaj silnie się zaznacza w Szwecyi. Istnieją tam „stowarzyszenia pilności domowej,“ popierające praktyczną działalność młodzieży za pomocą zakładania, obok ludowych, szkół pilności (*slöjdskolan*), których zadaniem jest przedewszystkiem wyrobić w uczniach zręczność, smak, zamiłowanie porządku; nie mają one wszakże na celu kształcenia w rzemiosłach pojedyńczych. W program wchodzą: sztuka wyrzynania na drzewie, stolarstwo, tokarstwo, wypiłowywanie, rysunki. W miarę atoli ujawniania się potrzeb i braków, postanowiono kształcić

uczniów fachowo, w tych mianowicie gałęziach pracy, które w danych okolicach były zaniedbane. Do zakładów owych między innymi uczęszczają uczniowie i uczennice gimnazyów, a nawet osoby dorosłe. Podobna dążność daje się również spostrzegać i w Danii, gdzie obok oddziałów dla nauki rzemiosł przy szkołach ludowych, istnieje (w Emden) kurs nauki dla przysposobienia odpowiednich nauczycieli. Za przykładem Danii, w Niemczech powstały także warsztaty szkolne. W Ameryce wreszcie system praktycznej pracy szkolnej wybitne i szerokie miejsce zajął w różnorodnych postaciach.

Obecnie, jakeśmy powyżej wskazali, dążność tego rodzaju i w obrębie państwa ruskiego zaczyna wyraźnie się zaznaczać. W związku zaś z okólnikiem, kładącym nacisk na potrzebę pracy ręcznej w szkołach ludowych, pozostaje nowa działalność w zakresie reformy szkół rzemieślniczych. Według opracowanego programu, zakłady te powinny zająć pośrednie miejsce między szkołami elementarnemi a fachowemi, których celem jest przysposobienie uzdolnionych majstrów. Co zaś najważniejsza, program wykładu powinien być zastosowany do potrzeb danej prowincyi. Uczniowie (wstępujący po ukończeniu szkół elementarnych lub umiejący tylko czytać i pisać) w ciągu trzech, czterech lat muszą się obeznać z ogólnemi podstawami tych odłamów rzemiosł, które odpowiadają miejscowym potrzebom. Szkoły te będą otwierane nie tylko w miastach, lecz także we wsiach i osadach. Na zajęcia praktyczne przeznaczono największą liczbę godzin: $6\frac{1}{2}$ codziennie. Praca rozpoczyna się od 7 rana i trwa do $5\frac{1}{2}$ wieczorem, z przerwą $1\frac{1}{2}$ godzinną w porze obiadowej. Program nauki obejmuje między innemi: arytmetykę, technologię, rzemiosła, buchhalteryę, rysunki ręczne i techniczne. Z rzemiosł zalecane są przedewszystkiem: ślusarstwo artystyczne i budowlane, kowalstwo, giserstwo, bronzownictwo, zegarmistrzowstwo, stolarstwo meblowe i artystyczne, tokarstwo i snycerstwo, bednarstwo, kołodziejstwo, introligatorstwo, szewctwo, siodlarstwo, krawiectwo, szczotkarstwo i wszelkie inne, niezbędne do potrzeb i warunków miejscowych. Jednocześnie młodzież kształci się teoretycznie. Po ukończeniu całkowitego kursu w wieku lat 15—16, wychowańcy nie otrzymują odrazu tytułu podmajstrzych cechowych, lecz zdobywają go po zwykłej praktyce u majstrów.

Jeżeli bacznie się zastanowimy nad celem tych szkół, to przyjdziemy do przekonania, że zadaniem ich jest ułatwienie warunków terminowania w rzemiosłach. Jakie są one dotychczas, wie zapewne każdy z czytelników. „Uczeń“ przez parę lat jest popychadłem, wszystkiego się dotyka, tylko nie rzemiosła. Bity, poniewierany, pędzany jako posłaniec lub posługacz, tępieje, staje się w końcu rzemieślnikiem, ale automatycznym, pozbawionym zarodków wszelkiej inteligencyi, bystrości, słowem — wychodzi na typowego partacza, przybitego i spaczonego nietylko fachowo, lecz umysłowo i moralnie. Otóż szkoły powyższe obejmą cały okres dzisiejszej praktyki terminatorskiej, czyli uwolnią malców zupełnie od poddawania się opiece majstrowskiej. Natomiast po ukończeniu szkół rzeczonych, już jako chłopcy oporniejsi fizycznie, obeznani na podstawach racyonalnych z zasadami rzemiosła i wykształceni teoretycznie o tyle, że się nie staną żywemi machinami, wejdą do praktyki na warunkach zupełnie odmiennych. Nauka u majstra sił im nie zrujnuje, zdolności i pierwiastków inteligencyi nie zabije, lecz przeciwnie — będzie produkcyjną. Jednocześnie zniknie dzisiejsza troska i trudność uregulowania nauki terminatorów w szkołach niedzielno-rzemieślniczych, do których faktycznie zaledwie jakaś nieznaczna cząstka tej dziatwy chodzi, i to z pożytkiem wątpliwym. Wykłady bowiem odbywają się *raz na tydzień.* Czyż podobna więc żądać, ażeby nawet uczniowie pilni i zdolni robili postępy lub utrwalili w pamięci to, czego ich nauczono (raczej usiłowano nauczyć) w odstępach sześciodniowych? Cóż mówić o mniej pilnych, opuszczających lekcye?

Ministeryum oświaty, nakreśliwszy program szkół nowego typu, mających zastąpić terminowanie, zaleciło kuratorom okręgów naukowych porozumieć się z instytucyami miejscowemi (zarządami miejskimi, cechami itd.) w sprawie zapomóg na urządzenie i utrzymanie owych szkół. Budżet obliczono przeciętnie: dla szkoły obejmującej naukę jednego rzemiosła — rs. 6,505, dwu — 7,465. (Odpowiedzi kuratorów, jako rezultat zbadania rzeczy, spodziewane są w tych dniach).

Wykształcenie szkolne terminatorów było przedmiotem rozpraw sekcyi rzemiosł i przedstawicieli cechów w Warszawie przez całą zimę i wiosnę. W końcu „starsi“ orzekli, iż najpilniejsze jest otwarcie przedewszystkiem szkół fachowych dla stolarstwa, tokarstwa i ślusarstwa. Ale ponieważ zakłady owe znajdować się będą po za obrębem cechów, więc rajcowie uznali za zbyteczne udzielenie na ten cel zapomogi z funduszów cechowych. Możnaby stąd przypuścić, że panowie ci brali udział w obradach powyższych tylko gwoli przyzwoitości.

Dla zaokrąglenia charakterystyki dążeń w chwili obecnej do rozwoju nauki fachowej dodajmy jeszcze parę faktów: W Turku zatwierdzono szkołę rzemieślniczą (z otwarciem oddziału ślusarskiego wymagana stała zapomoga 6,000 rs., z dodaniem stolarstwa — 7,000). W Końskich również wkrótce powstanie szkoła rzemieślnicza z oddziałami stolarskim i ślusarskim dla chłopców w wieku lat 12—14, którzy ukończyli szkółkę elementarną. Trzy godziny dziennie przeznaczono na wykłady teoretyczne, godzin zaś sześć na naukę rzemiosł i przygotowanie lekcyi. Ponieważ fundusze miasta są zbyt szczupłe na pokrycie całego budżetu (7,465 rs.), zarząd więc powiatowy udał się do władzy wyższej o pociągnięcie do ofiar innych miast i osad, w tym powiecie położonych. Typ powyższych dwu szkół zbliża się znacznie do nowej organizacyi zakładów, mających zastąpić terminowanie. Niezależnie od faktów zaznaczonych, interesowani mieszkańcy różnych miast i miejscowości również czynią starania o założenie szkół tego rodzaju. Dowodzi to, jak dalece są one potrzebą życia.

Ale wszystko, cośmy powyżej wykazali, ma na względzie tylko uzdolnienie malców do stawiania pierwszych prawidłowych kroków w rzemiośle. Zajrzyjmy atoli, chociaż pobieżnie, do innych potrzeb życia, gdzie wchodzi siła odpowiednio przysposobionych dorosłych działaczów. Czy średnie i wyższe wykształcenie w obecnej swej postaci odpowiada całkowicie istotnym potrzebom chwili? Gdybyśmy chcieli to zagadnienie drobiazgowo roztrząsnąć, przyszlibyśmy do przekonania, że armia pracowników, wypuszczonych przez różnorodne uczelnie, bardzo chroma. Dziś życie kipi gorączką, rodzi i rozkrzewia różne postacie i odłamy pracy. Tym czasem przysposabianie do tej ostatniej pochłania najpiękniejszy okres. Młodzieniec na zdobycie wyższego wykształcenia trawi lat 14—15, a gdy potknie się w gimnazyum i wyższym zakładzie, czas nauki dochodzi do lat 17, a nawet 18-tu. Człowiek taki, zdobywszy wreszcie patent, wchodzi w życie, jako działacz praktyczny, i nie mając najmniejszego pojęcia o tej praktyce, boryka się jeszcze lat parę, traci swe siły i zdolności na bezowocne, nieprodukcyjne próby, nim zdobędzie nareszcie potrzebną sumę doświadczenia. Tymczasem energia i hart młodości szybko się zużywają, i oto człowiek uzdolniony teoretycznie i praktycznie składa na ołtarzu dobra publicznego swą działalność w chwili gdy produkcyjność pracy i sprawność stała się o połowę lub o dwie trzecie mniejsza, niż można oczekiwać w okresie pełni zdrowia, energii umysłowej i fizycznej.

Gdy jednakże zechcemy śledzić dążność i postępy reform w zakresie przygotowywania młodzieży do praktyki życiowej, dostrzeżemy myśl przewodnią, która chce do szkoły wprowadzić życie. Wszelkie wyższe zakłady fachowe inżenierskie, technologiczne, rolne przeplatają teoryę praktyką, rozsnutą nie na jakimś skrawku, jako wzorze miniaturowym, lecz na tle pracy szerszej. Studenci biorą udział w budowie mostów, kolei, kanalizacyach, regulacyach rzek, badaniach geologicznych, robotach górniczych itd. Tym sposobem po ukończeniu nauk wychodzą kandydaci już obeznani praktycznie ze swoim fachem. Idźmy dalej, śledźmy postępy szkolnictwa, a przyjdziemy do wniosku, który pozwoli nam zarysować przypuszczalny obraz systemów może w niebardzo dalekiej przyszłości. Nauka szkolna rozpłynie się w praktyce życiowej; zakłady naukowe powstaną przy wszystkich olbrzymich warsztatach pracy wytwórczej i przetwórczej, które zastąpią obecne niedostateczne warsztaty szkolne. Uczniowie będą przeplatali przyswajanie wykładów teoretycznych pracą w fabrykach, hutach, kopalniach, przedsięwzięciach budowniczych; ułatwiona komunikacya pozwoli młodzieży uczącej się czynić wycieczki, chociażby najdalsze dla obejrzenia i wzięcia udziału w robotach, mogących dać wielką sumę doświadczenia i wprawy. Dziś już widzimy dążność do przysposabiania nauczycieli, których działalność odrazu po otrzymaniu patentu mogłaby być owocną. Może w taki sam sposób będą kiedyś wytwarzani adwokaci, sądownicy i inni za pomocą praktyki, prowadzonej podczas słuchania kursów. Umysł świeży, wrażliwy, potrafi łatwiej utrwalić teoryę, przeplataną czynem, a tem samem stanie się zbyteczną kilkoletnia rola praktykanta po skończeniu studyów. Jeżeli rozwój organizacyi przysposabiania pracowników wszelkiego rodzaju pójdzie taką drogą, szkoła z czasem wsiąknie w życie, stanie się jego nerwem, zużytkuje dla dobra powszechnego najprodukcyjniej wszystkie siły młodzieży, ale bez ich szkody i wyczerpania przedwczesnego.

Zen. Piet.

LISTY PETERSBURSKIE.

Lat temu kilka w jednej z powieści angielskich autor opisywał dziwne dziwy. Młodzieniec, prześladowany przez nędzę, postanowił rozstać się ze światem; natenczas jakiś jasnowidzący, medyum, a może odgrzebany z kurzu XVI stulecia czarownik wywróżył mu prędkie i nieoczekiwane szczęście. Młodzieniec wrócił do domu z postanowieniem śpieszenia się w nieznaną krainę. Nazajutrz agent bankowy przyniósł mu wieść o spadku, wynoszącym miliony. Okazało się, że młodzieniec w swym czasie pewnego jegomościa, którego wcale nie znał, prawie wyrwał z pod pociągu kolei żelaznej; ten wówczas wziął kartkę swego zbawcy i odszedł: on to zapisał mu w spadku miliony.

Powieść, jak widzimy, dziwaczna, osnuta na fantastycznej wróżbie i fantastycznym wypadku, a jednak... Opowiemy drugą.

Hrabia Sollohub otrzymał po rodzicach spory majątek, roztrwonił go na przedsiębierstwa, sporty itd. Gdy gonił ostatkami, znowu dostał spadek i znowu roztrwonił...

i znowu otrzymał, aż nareszcie roztrwonił i nie otrzymał więcej. Zaczęło się natenczas, jak zwykle, życie na kredyt: dzięki ogładzie, pewności siebie itd. kredyt mniej więcej udawał się. Powiadają, że u najzwyklejszych istot, gdy nie starczy pieniędzy, rodzi się nadzwyczajna zdolność do opowiadania swym wierzycielom nadzwyczajnych powieści. Być może i tym razem działało owo prawo, a może hrabia przeczytał przytoczoną powieść angielską, dość że jął przebąkiwać swym przyszłym wierzycielom o znacznym spadku. W owym czasie zmarł, nie zostawiając testamentu, wielce bogaty kupiec moskiewski, Grybanow. Hrabia opowiadał, że owego kupca ongi wydobył z rąk opryszków i że podobno przez wdzięczność ten zapisał mu testamentem swoje miliony—tylko nie wiadomo u kogo znajduje się dokument; trzebaby go odszukać, ale nie ma na to środków. Słowo „milion“ posiada magiczną własność; najobojętniejszy flegmatyk, usłyszawszy je, strzyże uszami niby rumak arabski. Człowiekowi oczekującemu milionów warto dać tymczasem kilkanaście tysięcy, bo z czasem za każdy rubel można otrzymać sto, a przynajmniej pięćdziesiąt. Przypuśćmy, że takie ryzyko ma niezbyt etyczną podstawę, ale gdzie chodzi o miliony, czy warto o tem mówić? Tak podobno rozumował sobie i p. K., kupiec, który dawał hrabiemu pieniądze na poszukiwanie dokumentu dość długo — i wydał do 30 tysięcy. Napróżno jednak sam S. i adwokat jego Fiszer czynili poszukiwania — nic nie znaleźli. Tymczasem dowiedziały się o tajemniczym testamencie istoty, lubiące sprawy zawikłane, a więc niejacy: Rejnitz, Dabo, Tupicyn... Wszyscy ci działacze szukają zatraconego dokumentu i... znajdują go, a znalazłszy, sadowią się na ławie oskarżonych (pociągając za sobą wielu innych), zrodziło się bowiem podejrzenie, że ów dokument sfałszowano. Ekspertyza potwierdziła przypuszczenie. Pozostawało pytanie: kto sfałszował? Hrabia Sołłohub twierdził, że sam wpadł w pułapkę, inni podsądni też wielce byli zdziwieni, gdy się dowiedzieli, słowem, sąd miał sprawę niełatwą do rozwikłania. Po długiej a mozolnej pracy adwokata Fiszera, jako wprowadzonego w błąd, uniewinniono, również notaryusza, u którego podstępem wizowano testament, i fotografa, który go badał i wydał świadectwo, że jest wiarogodny. Inni skazani zostali na zesłanie do Syberyi.

Przy roztrząsaniu sprawy przesunął się przed oczyma widzów cały zastęp wielbicieli złota, mających niepohamowany popęd do posiadania go za jakąbądź cenę. W ciżbie życia złote sprawy nieraz się udają i natenczas z mętnych, błotnistych wód wynurzają się na powierzchnię istoty — bańki, jużci mające wnętrze napełnione gazem, powstałym ze zgnilizny, ale to mało znaczy... Skoro w walce o kieszeń ktoś został zwycięzcą, nikt nie ma prawa go sądzić...

A jednak, rzecz dziwna, człowiek, który był środowiskiem całej sprawy, na imię którego sporządzono fałszywy testament, który brał i lekkomyślnie tracił cudze pieniądze, wzbudził więcej współczucia, niż jego satelici. Prawda, on tracił zbyt wiele: imię przodków, stanowisko w świecie, wreszcie syna, ten bowiem w czasie sądzenia sprawy z rozpaczy odebrał sobie życie. Na dobitkę ex-hrabia, siedząc na ławie oskarżonych, dowiedział się, że umarła jedna z jego krewnych i zapisała mu testamentem znaczny majątek, którego, jako pozbawiony praw, nie może posiąść. W porównaniu z nim Rejnitz, Dabo, Typicyn niewiele stracili, tem bardziej, że bez wątpienia byli głównymi twórcami dokumentu i kusicielami, którzy lekkomyślnego utracyusza zawiedli na pokuszenie.

Do tego dodajmy: pisarz angielski, prawiący banialuki o spadku otrzymanym za wypadkowe uratowanie życia bogaczowi, powinienby jako jeden z lekkomyślnych kusicieli też zasiąść na ławie oskarżonych.

N. B.

WILHELM ROSCHER.

(Wspomnienie pozgonne).

Heine żartuje z pewnego uczonego mola, spacerującego w swoim ogródku, w którym na gałązkach, zamiast kwiatów, kołyszą się cytaty. Uszczknie to z jednej, to z innej roślinki, aż powstanie bukiet, noszący nazwę dzieła. Takim uczonym, którego cała zasługa niemal polega na gromadzeniu cytat i dawaniu zecerom zarobku z przedrukowywania tego, co już dawniej wydrukowano, był Wilhelm Roscher. Ani prace jego, ani wykłady nie uczyniły na mnie najmniejszego wrażenia, przynajmniej dodatniego. Było to w uniwersytecie lipskim, w roku szkolnym 1893/4. Zwabiony sławą tego ekonomisty, zapisałem się na jego wykłady. Audytoryum zostało wybrane jedno z największych, słuchaczów bywało pełno. Roscher wykładał swoją politykę, tj. zbiór faktów, dotyczących ustroju politycznego niby w pewnym związku rodowodowym, a jak najniezręczniej ułożonych w rubryki: monarchii, arystokracyi i demokracyi. Uczęszczałem pilnie na lekcye, bo wiadomości faktycznych podawał mnóstwo, chociaż związanych bardzo niekrytycznie. Niektóre jego spostrzeżenia były wprost komiczne — np. pytanie: dlaczego dynastye francuskie kończą się zawsze panowaniem trzech rodzonych braci? Pytanie to zostało też pomieszczone w *Polityce*, która ukazała się przed dwoma laty i akurat zawarła w sobie słuchane przeze mnie wykłady.

Erudycya Roschera zaiste jest zdumiewająca, zakrawa wprawdzie nieco na chińską naukę mandarynów, ale niepodobna jej nie przyznać zmarłemu. Książki jego są istotną kopalnią dla tego, kto z własnym probierzem z nich użytkuje. Ale kto go nie posiada, zabłąka się w tym lesie i śród szczegółów nie obejmie całości. Przytrafiło się to samemu autorowi. Wprawdzie rości on sobie pretensyę do tego, że jest ojcem nowej metody w ekonomii politycznej, metody brzmiącej zbyt długo, bo ochrzczonej nazwą: anatomiczno-fizyologiczno-historycznej. „Historyczność“ zapożyczył on u Savignye'go i Eichhorna, prawników, którzy na polu tej nauki przewodniczyli reakcyi przeciwko hasłom przeszłego stulecia, w imię rozumu poddającym krytyce stosunki prawne. Historyczność miała ocalić zagrożone przez skalpel krytyczny normy. Fizyologię zaś i anatomię wziął Roscher z medycyny, ażeby prawem przyrodzonem wzmocnić tradycyę historyczną. Zresztą pod tą górnolotną etykietą ukrywał się zwyczajny eklektyzm kompilatora, zasadzający się na dobieraniu w miejscach stanowczych odpowiednich wyrażeń: mniej więcej, chociaż — przecież!.. Ktoś z tego powodu przyrównał Roschera do dziewczyny, która, ażeby odeprzeć zarzut, iż miała dziecko, odrzekła: było ono takie malu̇chne, że wychodzi na to, jakbym go nie miała... Ale książki były tak wielkie, erudycya tak olbrzymią, że zapomniano o grzechu. Przytem eklektyzm u osób rozważnych i ostrożnych uchodzi za dowód mądrości! Sława zmarłego rozchodziła się zatem szeroko po świecie. Ale listki tych wawrzynów nie posiadają trwałości. Nie minie parę dziesiątków lat i o Roscherze świat naukowy zapomni. Pono stało się to już po części dzisiaj w Niemczech. Imię jego zachowało urok tylko dlatego, że młode pokolenie ekonomistów statecznego kierunku wychowało się pod okiem zmarłego, przytem profesorowie niemieccy wogóle są to ludzie grzeczni, a staruszek miał dni swoje policzone. Po co było sprawiać mu przykrość, kiedy sława i bez tego ulatniała się, pozostawał zaś jedynie podziw dla erudycyi?

K. R. Żywicki.

PAMIĘTNIK.

Dziś a dawniej.

Czyż wszystko, wszystko nasuwać nam będzie natrętną myśl o znikomości tego świata? Nawet wyścigi, na których ciągle się wzruszamy, ciągle się stroimy i gramy w totalizatora? Nawet one?.. Pozornie w tym kulcie nóg końskich nic się nie zmieniło. A jednakże weźcie do ręki pierwszy lepszy dziennik i przeczytajcie sprawozdanie z gonitw; czy to je tak dawniej — zaledwie przed kilku laty — opisywano? „Do startu stanęły: Hektor, Belle-Taille, Kundry i w tym porządku przybiegły do mety.“ Wtedy opiewaliśmy urywanym z zachwytu stylem: „Gentlemani zachowują spokój, ale to spokój Wellingtona. Ich guma jest chłodna, ale serce dla bohaterów gorące. Zwłaszcza gdy na tor wybiegła nadobna córa Kordeckiego i Ewangieliczki“ itd. A dziś? Wszystkie te kwiatki albo uwiędły, albo zniknęły. Wychodzą ze stajni, jak gdyby ze stajni, konie, jak gdyby konie, z dżokejami na grzbiecie, jak gdyby z dżokejami, a kiedy przylecą do mety, widzowie pędzą do totalizatora, jak zwyczajni terminatorzy, grający na Saskiej Kępie z żydkiem w cetno i licho o karmelki. Dawniej, gdy w nas wmawiano, że na polu Mokotowskiem zgromadzają się sami gentlemani i lady, widzieliśmy ich nawet w lokajach, pannach służących, konduktorach, praczkach, blacharczykach i szwaczkach; dziś, gdy nam poczya nie zasłania oczu, widzimy najrozmaitsze stany, a prawie wcale nie dostrzegamy gentlemanów, którzy gdzieś znikli. Po epoce idealizmu sportowego nastąpił tak obnażony naturalizm, że podobno raz przy okienku totalizatora pewien gentleman w długiej szacie zapytał gentlemana w krótkiej: „Czemu to pan nie pcha się tak akurat z ratą do mnie, jak do totalizator.“ I gentleman w krótkiej szacie cofnął się zdumiony, czy przestraszony.

— I tu już jesteście?..

— Czemu nie? — odrzekł gentleman w długiej szacie. — Albo to ja nie stawiam moje pieniądze? Jeżeli *mój koń* przyleci pierwszy do mety, to ja zarobię 100, albo 200, albo 300 procent przez kwadrans. A czy ja tyle zarobię na panu? A czy pan pewniejszy, niż ten wałach p. Grabowskiego?“

Tak dziś, a dawniej? I to zdaje się przepadła poezya wyścigów wraz z gentlemanem Czapelskim.

Cholera.

Trzy lata już blizko włóczy się po naszym kraju cholera niby gad, który ciągle przecinany, odrasta z kawałków. Co gorsza, ile razy po pewnej przerwie zaraza znowu wybuchnie, posiada tak wielkie natężenie, jak gdyby się rozpoczynała świeżo. Dziś już trzy gubernie — warszawska, radomska i płocka — ogłoszone zostały urzędownie za nawiedzone epidemią. W Warszawie obok krańców i przedmieść, pozostających zwykle w najgorszych warunkach sanitarnych, cholera zjawiła się na takich ulicach (Widok, N. Świat i in.), które utrzymywane są w pożądanej czystości i przeważnie skanalizowane. Śmiertelność dochodzi tu 50%, natomiast w miastach prowincyonalnych ma być wyższa. Mówimy: ma być — gdyż wszelkie wysiłki urzędowe i prywatne w zdobyciu ścisłej

statystyki rozbijają się o stałą dążność ludności do ukrywania wypadków zasłabnięcia i śmierci, ażeby się ustrzedz ograniczeń sanitarnych. Jak zawsze, tak i obecnie najwięcej ofiar zabiera epidemia z ubogich żydów, mieszkających niechlujnie i żywionych licho. Według wszelkiego prawdopodobieństwa należy oczekiwać środków i rozporządzeń ochronnych nietylko miejscowych, ale i granicznych.

Nowe odkrycia.

Policya znowu odkryła szereg fałszerstw i niechlujstw — tym razem w wodzie sodowej, wyrabianej przez mniejszych fabrykantów dzielnicy Nalewkowskiej. W samej wodzie znaleziono ołów, w sokach zaś anilinę i sacharinę. Nie można powiedzieć, ażeby ciała te wywoływały cholerę, ale nie ulega wątpliwości, że sprzyjają jej rozwojowi. Jako trucizny bowiem rozstrajają żołądek i psują trawienie, czyli wytwarzają podłoże przyjazne dla bakteryj. Na co się zdadzą wszystkie przepisy hygieny i dezinfekcye, wszystkie herbaciarnie i restauracye ludowe, mające przeciwdziałać epidemii, jeżeli w sprzedaży publicznej przepływać będą tysiące litrów zatrutej wody? Przestępstwa tego rodzaju powinny być zawsze surowo karane, ale szczególnie podczas groźnych epidemij. Jak to, więc jeżeli ktoś ukradnie mi bułkę chleba, odpokutuje to długą kozą, a jeżeli w czasie grasowania cholery napoi mnie podstępnie ołowiem i aniliną, może okupić to łotrostwo kilkunastu rublami? Rozumie się, na pastwę oszustów rzucona jest ludność uboższa, skądinąd najbardziej zagrożona. Zamożniejsza nie pije wody Nalewkowskiej, dobrze się odżywia i czysto mieszka. Biedacy, wystawieni na niebezpieczeństwo ze strony swych brudnych i zatęchłych lokalów oraz lichych pokarmów, spotykają jeszcze wroga w wodzie sodowej, którą dość obficie raczą się w dni upalne. Zaiste, warto ich bronić przed fałszerzami.

Potrzeba...

Zeszłego tygodnia zawaliły się schody w cyrku, przyczem kilka osób poniosło mniejsze lub większe obrażenia, a jedna po paru dniach zmarła. Podczas ratunku przekonano się, że Warszawa nie posiada instytucyi, w wielu miastach zagranicznych świadczącej wielkie usługi, mianowicie towarzystwa ratunkowego. Towarzystwo takie ma nietylko członków, śpieszących z umiejętną i skuteczną pomocą we wszelkich katastrofach, ale nadto zaopatrzone jest w odpowiednie przybory. U nas ludzi z połamanemi nogami lub rękami, z bolesnemi uszkodzeniami ciała niepodobna inaczej przenieść do domu lub szpitala, tylko zapomocą dorożki. Co to zaś znaczy jechać w takim stanie trzęsącą dorożką, wie tylko ten, kto doświadczył tej męczarni lub przynajmniej na nią patrzył. Kobiety leżące z połamanemi nogami w wypadku cyrkowym błagały, ażeby ich nie ruszano z miejsca; musiały być jednak przewiezione śród najokropniejszych bólów. Towarzystwa ratunkowe przybywają na miejsce nieszczęścia z noszami i lektykami, urządzonemi tak, ażeby poszkodowanym oszczędzić jak najwięcej cierpień. Podobno dr. Stummer dawno już podejmował starania, ażeby tego rodzaju instytucyę powołać do życia w Warszawie; świeży wypadek wskrzesił tę myśl i poparł ją bardzo wymownie.

Za daleko.

My mniej, niż ktokolwiek, skłonni jesteśmy do odmawiania Paderewskiemu wielkiego talentu kompozytorskiego i wykonawczego. Rzeczywiście jest on gwiazdą artystyczną świetną i na rozgłos, jakiego używa w Europie, zasłużył. Nie dość tego: jest on człowiekiem bardzo dobrym, sympatycznym i — dokąd znaliśmy go — skromnym. Ale wszystkie te zalety i tytuły sławy zdaniem naszem nie rzucają nawet słabego odblasku na jego... psa. Tymczasem najstarsza i najpoważniejsza ilustracya nasza podała w ostatnim numerze wizerunek doga artysty. To już ma zapewne swój pierwowzór w czczonym i portretowanym psie Bismarka, ale zbyt już ośmieszone, ażeby mógło być naśladowane. Dokądże dojdziemy, idąc dalej po tej drodze? Czemużbyśmy np. nie mieli podać w ilustracyi wizerunków cieląt, kur i gęsi Paderewskiego (posiada on majątek ziemski), kucharki Sienkiewicza, lokaja Siemiradzkiego, kapelusza Konopnickiej? Wszystkie te istoty i rzeczy miałyby to samo prawo do wystawy publicznej, co ów dog znakomitego muzyka.

Czy to tak trudno utrzymać miarę w uwielbieniu? Nie sądzimy. Serce ludzkie może wydobyć z siebie tyle uczuć, zdobyć się na tyle hołdów rozsądnych, że wcale nie potrzeba ich składać psom, cielętom, kotom i kapeluszom sławnych ludzi. Wtedy nawet owe hołdy przybierają postać wstrętną, z którą nie pogodzi się ani światły rozum, ani szlachetne serce.

Zapis dobroczynny.

Hr. Eligiusz Suchodolski zapisał warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności dobra Gościeradów, obciążywszy je nieco legatami na korzyść służby. Podobno jest to darowizna wspaniała, a owe legaty uszczuplą ją bardzo nieznacznie. Przypuszczamy, że Towarzystwo odbierze, co mu dano, ale nie możemy pominąć uwagi, która nam się nasuwa przy tej sposobności. Mianowicie naszym instytucyom dobroczynnym przydałoby się więcej energii i zabiegliwości w egzekwowaniu swych zapisów. Ile razy tylko ktoś je obdarzy hojnie, krewniacy nieboszczyka, często bardzo dalecy, natychmiast występują z procesem o unieważnienie testamentu. Wtedy owe instytucye ustępują im z drogi bardzo grzecznie i nie bronią swych praw przed sądami. Jeżeli pieczone gołąbki spadną im do gąbki — spożywają je; gdy zaś trzeba je dopiero złapać i upiec, wolą zrzec się zapisu, aby nie prowadzić procesu. Otóż dzięki tej metodzie stosunkowo duża ilość legatów dobroczynnych przepada. Należy zaś pamiętać, że testatorowie nie mają właściwie żadnego sposobu ubezpieczenia się, gdyż zawsze znajdą się kuzynkowie, którzy ostatnią wolę zmarłych zakwestyonują na swoją korzyść. Jedynie tedy od zarządów instytucyj obdarowanych zależy ocalenie zapisu, który ulżyłby niejednej niedoli, wsparł ubóstwo, ukoił cierpienie, a bywa rozdrapywany przez krewniaków. A zatem więcej dbałości o dobro publiczne i więcej energii w bronieniu go.

Nauczycielki.

Niekiedy wiemy, że ta lub inna grupa osób w naszym kraju musi ciężko walczyć o kawałek chleba, ale niezawsze domyślamy się, jak twardym bywa ich los. Przypadek dopiero odkrywa nam całą przepaść nędzy, w jakiej one toną. Coś podobnego w tych dniach przytrafiło się piszącemu te słowa. Kobieta, nie posiadająca w Warszawie żadnych stosunków, prosiła mnie o wyszukanie dla niej nauczycielskiego zarobku na czas wakacyjny. Zwróciłem się więc do paru osób, o których sądziłem, że zdołają mi coś pomódz w tym razie. Naturalnie, szło nie tylko o wyjazd, ale także o zarobek. Ale jakież było moje zdziwienie, kiedy zacząłem się rozpytywać o wynagrodzenie za możliwe przyjęcie miejsca. Zdziwienie to było dwustronne, gdyż nie mniej zdumiewali się ci, do których się udałem, nad moją nieznajomością rzeczy. Gdy pewna osoba uwiadomiła mnie, że posiada zajęcie dla nauczycielki na wsi przez ciąg wakacyi i że za to można dostać 20 rs., sądziłem, że to żarty. Zaczęto mnie przekonywać, że przeciwnie jest to bardzo dobra zapłata, bo mnóstwo kandydatek wyjeżdża darmo, rade, że w porze letniej znajdą jakiś przytułek i będą oddychały świeżem powietrzem. Pewna znowu przełożona pensyi, posiadająca dobrą znajomość stosunków, z góry uprzedziła, że o wynagrodzeniu nie może być mowy, gdyż natłok kandydatek i wzajemna konkurencya są tak znaczne, iż zapłatę dają tylko domy zamożne i bardzo wymagające. „Co pan chce — zakończyła rozmowę — tyle jest biednych panienek, które bez zarobku musiałyby latem piec się w Warszawie, więc wolą jechać bezpłatnie!“ Poprzestajemy obecnie na wzmiance. Mamy jednak nadzieję, że uda się nam zebrać dane ściślejsze o warunkach pracy, jako też pobieranem wynagrodzeniu. Nie omieszkamy wtedy podzielić się z czytelnikiem. *W.*

Przytułek dla pracowników kolejowych.

W Orchówku pod Włodawą od lat kilku istnieje zakład dla inwalidów kolejowych, w którym znalazła schronienie garść ludzi, steranych pracą uciążliwą. W stosunku wszakże do ogółu wybrakowanych pionków, podtrzymujących tę olbrzymią machinerye komunikacyi, jest to zaledwie ułamek nieznaczny. Tymczasem liczba kandydatów do kąta cichego rośnie z dniem każdym i pod wpływem owej potrzeby zarząd powyższej instytucyi, pozostającej pod bezpośredniem zwierzchnictwem departamentu kolejowego, postanowił ją rozszerzyć. Czy wszakże taki jeden jedyny dom może odpowiedzieć w zupełności istotnym wymaganiom? W roku bieżącym kolej Wiedeńska obchodzi półwiekowy jubileusz swego istnienia i na tę pamiątkę wyznacza gratyfikacye dla swych pracowników, którzy w jej służbie pozostają najmniej lat dziesięć. Nagroda ma być wypłacona w stosunku pensyi dwumiesięcznej, to znaczy, że ci, którzy najmniej potrzebują, otrzymają najwięcej. Będzie to jednorazowe uczczenie dziejów i wieku drogi niewątpliwie bardzo pożyteczne dla jej licznej armii. Ale sądzimy, że kolej tak zasobna nie poniosłaby wielkiego uszczerbku, gdyby obok powyższej formy zechciała swój jubileusz upamiętnić w trwalszy sposób: wyznaczyć pewną sumę na przytułek dla swoich inwalidów, których w ciągu pięćdziesięciu lat zebrała się spora liczba. Dźwigali oni na swych barkach to przedsiębiorstwo w okresie jego pierwszych poruszeń, ofiarowali na jego usługi swoją energię, i dziś, gdy ich żywicielka olbrzymio się rozrosła i zapewniła pokaźną dywidendę akcyonaryuszom, oni stargawszy swoje siły, nie mają gdzie się schronić. *—ir.*

„Ogródki.“

Trzy „drużyny“ koczowników, wycierających o głodzie i chłodzie szopy prowincyonalne przez całą jesień i zimę, osiadły w uprzywilejowanych „ogródkach“ warszawskich i żeby wzajemnie nie szkodzić, rozdzieliły swoją pracę na trzy rodzaje. Towarzystwo łódzkie w Wodewilu obrało sztuki poważniejsze (dramaty, komedye), trupa w Belle-Vue utwory lżejszego pokroju, wreszcie w Eldorado usadowiła się operetka. Publiczność, lubiąca piwo, przewiew i rozrywkę sceniczną przy kuflu, będzie mogła wedle usposobienia, nastroju i temperamentu wybierać rodzaj zabawy, aktorowie zaś tym razem może będą bawili widzów zpogodniejszą niż zwykle duszą i pełniejszymi... żołądkami. Władza bowiem odpowiednia, chcąc zabezpieczyć wynagrodzenie tym pracownikom, ściągnęła z przedsiębierców-dyrektorów większą kaucyę, niż zwykle, i zaleciła czynić umowy nie gołosłownie, lecz według wszelkich formalności prawnych. Jeżeli te środki weszły już w wykonanie, przysłowiowa nędza śród tych ptaków wędrownych złagodnieje i z korzyścią dla sztuki tułaczej

nie przygniecie ich polotu. Śród owych gromad są bardzo zdolni, oddający się ze szczerym zapałem swemu zadaniu. Wielka szkoda tych ludzi, gdy twarde życie gasi w nich iskry, które mogłyby niejeden talent rozniecić w warunkach przyjaznych.

Z.

W DALI.

Hygiena prowincyonalna. Niechlujstwo miast, miasteczek i osad, drzemiące przez całą zimę w okowach lodu lub pod warstwą śniegu, budzi się zwykle z pierwszym przebłyskiem wiosny, taje i rozpływa się po podwórzach, ulicach, placach i targach, zapełnia cuchnącą wonią powietrze, nasyca oczy i płuca ludzkie kurzem z milionami drobnoustrojów szkodliwych. Samo przez się zjawisko to ciężkie i niezmiernie dokuczliwe dla mieszkańców takich brudnych zbiorowisk. A jednak obywatele owych siedlisk, ślimaki, przyrosłe do swych chałup i posesyj, wszelkiemi siłami bronią całości swego bagniska i śmietników, częstokroć z taką rozpaczliwą energią, na jaką może się tylko zdobyć matka w razie niebezpieczeństwa, grożącego jej dziecku. Wyobraźmy sobie przygnębienie i troskę tych właścicieli nieruchomości w chwili obecnej, gdy się zaczynają włóczyć wszelkie komisye sanitarne, zaglądać do ich zagrody, przetrząsać kąty i grozić odpowiedzialnością karną za upór. To też starają się oni omylić czujność stróżów zdrowia publicznego i skryć to, co jest dla nich najdroższego. Nie zawsze jednak udaje się im to bez smutnych następstw. Oto wymowny przykład, podany przez korespondenta *Kuryera codziennego.* W Hrubieszowie właściciel domu, starozakonny, pragnąc uniknąć kosztów wywozu nieczystości, najął włościanina dla wykopania dołu obok kloaki i spuszczenia tam jej zawartości. Gdy jama była już ukończona, wszedł do niej właściciel i wskazywał, gdzie należy tunel przekopać. Ale ponieważ oba doły oddzielała tylko cienka warstwa ziemi, więc nieczystości same wytworzyły przepływ i tak gwałtowne gazy, że obaj ludzie omdleli. Na ratunek pośpieszył starszy syn właściciela, lecz uległ temu samemu losowi, wreszcie drugi syn, kilkunastoletni, wskoczył do dołu i także omdlał. Zaalarmowani sąsiedzi przybyli na ratunek, lecz zdołali ostatniemu tylko przywrócić przytomność. Trzej stracili życie za cenę kilku rubli, które właściciel domu chciał zaoszczędzić na wywózce nieczystości.

Może katastrofa hrubieszowska stanie się bodźcem do urządzenia jakichś stanowczych środków, które pozwoliłyby ściśle badać wszelkie szczegóły urządzenia domów i opornych a niechlujnych właścicieli pociągać do surowej odpowiedzialności. Nie dziwimy się wszakże, iż kontrola jest trudną, skoro nawet w miastach, posiadających oddzielne zarządy policmajstrów, nie było dotąd w domach stróżów, tych najgłówniejszych sprężyn porządku. Dopiero z d. 13 czerwca w miastach owych wprowadzono przepisy, nakazujące właścicielom obowiązkowe utrzymywanie tych niezbędnych ludzi. Stróż powinien być dla każdej posesyi oddzielny, lub najwyżej jeden dla czterech, leżących obok siebie w szeregu, jeżeli długość tych posesyj od ulicy nie przekracza 60 sążni. Obok ściślejszego pilnowania porządku, mieszkańcy miast prowincyonalnych i ich goście przygodni zyskają na tem szereg innych dogodności: znajdą ochronę przed złodziejami, otrzymywać będą listy i depesze, które nie bywają im doręczane skutkiem tego, że nie zawsze można adresata znaleźć. Komunikacya pocztowa i telegraficzna to nerw wszelkich interesów handlowych i przemysłowych, które częstokroć dotkliwie cierpią skutkiem ciężkich warunków adresowych.

Wracając do zarządzeń zdrowotnych, musimy zaznaczyć szereg środków ochronnych, przedsięwziętych obecnie w Tomaszowie Rawskim, które należałoby i w innych miejscowościach wprowadzić. Komisya sanitarna postanowiła: Usunąć studnie jak najdalej od miejsc ustępowych, tudzież porobić pod niemi ścieki dla odprowadzania wypompowanej wody, brudną zanieczbaną „mykwę“ żydowską zamknąć zupełnie; zwyczaj u żydów mycia zmarłych w domu znieść, a natomiast uskuteczniać to w domu pogrzebowym; mięso, sprowadzane w opieczętowanych pakach z Warszawy, zalecić do sprzedaży jedynie po rewizyi lekarskiej. Należałoby również zwrócić baczną uwagę na cmentarze prowincyonalne, ażeby je ochronić od takich wypadków, jak w Tomaszowie Rawskim. Według doniesień korespondenta *Słowa*, na miejscowym cmentarzu żydowskim podczas jakiegoś pogrzebu spostrzeżono na świeżo poruszonej ziemi ciało dziecka, z ogryzionemi udami i grzbietem aż do kości. Okazało się, iż zbyt płytko zakopane ciało lis obrał sobie za strawę, i to podobno nie po raz pierwszy.

Drogomir.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z NIEMIEC.

Berlin, 10 czerwca.

Z powodu konferencyi rolnej.

Artykuł wstępny, zamieszczony w numerze poprzednim p. t. „Konferencya berlińska,“ uwalnia mnie od szczegółowego streszczania wszystkich mów, długich i licznych, które wypełniły cały tydzień obrad. Konferencye podobne mają zawsze ten sam charakter i przynoszą te same rezultaty. Zwoływano *ad hoc* przez organy rządowe, wiedzą z góry, po co się zbierają, co mogą uczynić, do jakich mniej więcej *muszą* dojść wniosków. Zresztą od tylu lat już przez pytel dziennikarski przechodzą wszystkie projekty „ratowania własności ziemskiej“ — banki rentowe, ograniczenie liczby spadkobierców, *homestead'y*, że bujna wyobraźnia sprawozdawców wyczerpała nawet wszystkie matematycznie dokonywane kombinacye z tych kilku danych. Projekty te nie przechodzą po za granice środków łagodzących, które na krótszy lub dłuższy czas mogą przeciągnąć konanie. Jeżeli jednak w rzeczy spojrzeć głębiej — pod kątem wieczności, jak chce Spinoza — to z projektów tych „chleba“ nie będzie. Bo z plew go nie upiecze najlepsze pod słońcem serce męża stanu. Najważniejszem jest to, że rząd pruski zrozumiał konieczność ratowania własności od ogólnej — jak mówił p. minister v. Heyden — „likwidacyi.“ Jest to wielki postęp. Kiedy bowiem przed 20 laty Rodbertus, przewidując upadek rolnictwa w ówczesnej fazie jego produkcyi, żądał przeprowadzenia ankiety, przyjęto go śmiechem. Nawet dziesięć lat później prof. Schmoller pisał, że Rodbertus jest „niejasnym,“ a rolnictwo niemieckie jest „Kerngesund.“ Wtedy tonna pszenicy kosztowała już tylko 207—220 marek; gdy Rodbertus pisał swoje „przepowiednie Kassandry,“ cena wynosiła 242 m., dzisiaj zaś osiągnąć się daje w Berlinie zaledwie 130—133 marek. Tylu więc doświadczeń życiowych trzeba było, ażeby przekonać „kogo należy“ o konieczności słuchania nauki. Po przejrzeniu całego materyału referatów i mów, które w przeciągu sześciu dni wyprodukować zdołali 32 agronomowie, zwołani do Berlina ze wszystkich kątów rolnictwa niemieckiego, przyszedłem do tego skromnego i rzecz pewna podmiotowego wniosku, że najlepszym kąskiem tej uczty — jest artykuł Rudolfa Meyera. Nie wymieniając tego nazwiska, trudno jest, zdaje się, pisać dzisiaj o stosunkach rolniczych wogóle, a przedewszystkiem niemieckich. Zamiast więc udawać katarynkę, wygrywającą *La prière d'une vierge* — zacną wprawdzie, ale nieco już omszałą i zapomnienia godną — wolę podać treść wywodów tego badacza. Meyer oblicza, że większa własność ziemska na Pomorzu przedstawia cyfrę 1,353 właścicieli, posiadających sto i więcej hektarów, albo 2,254 majątków ziemskich — w tej liczbie 419 junkrów. Obok tego istnieje 300 majątków, należących do instytucyj publicznych; 1,194 zaś właścicieli, posiadających 1,476 majątków, ma tak mało ziemi, że jeżeli prócz niej nie posiadają kapitałów, w żaden sposób nie są w stanie wytrwać przesilenia. W tej liczbie znajdujemy 295 junkrów, 899 właścicieli pochodzenia mieszczańskiego, 124 junkrów, którzy posiadają 688 majątków i 35 mieszczan, którzy mają 94 dobra — ci przetrwają wszelką burzę. Nie tyle wpływ 1,500 właścicieli, ile właściwie tych 300 „wybranych“ napełnia sale parlamentarne, salony ministrów, nawet komnaty monarsze „płaczem i zgrzytaniem zębów.“ Przytem oczywiście nigdy nie zapomina się mówić o ratowaniu własności — „chłopskiej.“ Już te obliczenia Meyera są bardzo ciekawe i nasuwają mimowoli ciekawsze jeszcze analogie „z przeciwka.“ Wiadomo, że błąka się po głowach zbawicieli społecznych *à la* Vogelsang myśl ograniczenia rozporządzalności spadkowej w celu niedopuszczenia zbyt drobnych działów własności ziemskiej. W programie konferencyi, jaki rozwinął minister v. Heyden, czytamy między innemi: „Konferencya winna dowieść, że podział własności ziemskiej w Niemczech „dobry jest“ w porównaniu z przeważającą wielką własnością w Anglii z jednej, i przeważającą drobną we Francyi z drugiej strony. Tu przypomina Meyer, że angielscy rolnicy nie mają ceł ochronnych, że tonna pszenicy kosztuje tam 92—100 marek (a w Niemczech 133), że płaca robotnikom podczas żniw wynosi 3—4 marek dziennie, że dziewczyny wiejskie (do dojenia krów) dostają prócz zupełnego utrzymania 160—200 marek rocznej pensyi, że wprawdzie zmniejszyła się w Anglii uprawa roli, ale zwiększyła hodowla bydła — i co najważniejsza, własność ziemska nie pragnie tam przy pomocy rządu dokonania „likwidacyi,“ zupełnie tak samo, jak i francuska; tutaj oczywiście płaca robotnicza musi być lepszą, niż w pogranicznych prowincyach niemieckich, a cóż dopiero na Pomorzu, jeżeli szukają tam roboty i niemieccy robotnicy na równi z belgijskimi, włoskimi i hiszpańskimi.

W dalszym ciągu zwraca uwagę R. Meyer na bezowocność w podobny sposób zebranej ankiety. „Królewska komisya angielska dla zbadania stanu rolnictwa“ postąpiła sobie zupełnie inaczej. Wysłała specyalnych komisarzy, którym nadała prawo badania świadków w pojedynczych hrabstwach. Ci znaleźli majątki, w których dzierżawcy płacą 150 marek za hektar, a obok tych i inne, które nie mogą znaleźć dzierżawców pod tymi tylko warunkami, ażeby ci płacili podatki i utrzymywali budynki w całości. Takiej albo podobnej komisyi żąda Meyer dla zbadania stosunków rolnych w Niemczech. Dopiero po ogłoszeniu jej prac, po zbadaniu nietylko biadających dzisiaj na przyjęciach ministeryalnych „głodnych agrarczyków,“ ale wszystkich dzierżawców i chłopów, dopiero wtedy będzie można wiedzieć, jakie mianowicie i ile majątków musi uledz urzędowej likwidacyi.

Nie koniec jednak na tem. Kiedy ani cła ochronne, ani inne ubiegłej zimy i dawniej próbowane środki nie zdołały podnieść ceny zboża do takiego poziomu, ażeby pokrywała koszt produkcyi — wtedy oczywiście odwrócono rzecz całą „podszewką do góry“ — i „komisya dla podniesienia ceny srebra“ rozpoczęła swoją nieustającą pracę Danaid. Rzecz jasna: gdy w przeciągu 21 lat zaciągano długi w walucie złotej, obecnie piszą i mówią o „remonetyzacyi“ srebra. Ażeby dokonać tego wielkiego bezsprzecznie dzieła, nie wystarcza zgoda rządów niemieckich; przewrotu podobnego dokonać można zaledwie przy udziale Austryi i Francyi. Tymczasem Austrya wprowadza u siebie walutę złotą, więc z rachunku przyjaciół wykreśloną być musi, a Francya każe sobie oczywiście za tę przysługę zapłacić — Alzacyą i Lotaryngią. O tem nie wspominają przyjaciele „srebra,“ ale jak sądzi Meyer, „kto chce, ten musi chcieć i środków, które do celu wiodą.“ Mówią powszechnie „interesowani,“ że suma sprzedażna nie pokrywa ceny kosztu towaru, produkcyi otrzymywanej „na złej ziemi w niesprzyjających warunkach klimatycznych.“ Tutaj mamy dla owej idealnej ankiety nowe zadanie. Należy mianowicie zbadać, ile jest gospodarstw takich, które kosztów produkcyi wrócić nie mogą. Dla podobnych gospodarstw nie ma ani życia, ani przyszłości. Takich znajdzie się wiele na wschód od Elby, jeszcze więcej, ogromnie dużo na wschód od Odry. Oswoić się należy z tą myślą, że wiele ziemi w Niemczech przy warunkach dzisiejszych — jeżeli ceny zboża prędko i wysoko nie podskoczą w cenie—nie dają zupełnie renty gruntowej. Ta ziemia musi być oczywiście porzucona zupełnie, albo—znaleźć się w warunkach takiej produkcyi, która nie przypuszcza renty gruntowej jako warunku swego istnienia.

Obecna ankieta zostawia zupełnie na uboczu położenie dzierżawców. Tymczasem prawo ochronne dla nich staje się koniecznem, gdy w przeciwnym razie płacący przy dzisiejszych warunkach rynku niesprawiedliwie wysokie ceny dzierżawne zostaną zupełnie bankrutami; nastąpi gwałtowny zanik możliwych dzisiaj jeszcze gospodarstw wiejskich, gdyż właściciele sami nie posiadają, jak wiemy aż nadto już dobrze, potrzebnych kapitałów obrotowych. Tutaj powtarzają się, prawie że z fotograficzną ścisłością, wzory irlandzkie. Tam atoli zbyt wysokie ceny dzierżawne mogą być zmniejszane za pośrednictwem sądu i władzy. Z liczby istniejących na Pomorzu 2,600 majątków (ponad 100 hekt.) 650 czyli czwarta część znajduje się w dzierżawie. Dzierżawcy tego rodzaju płyną w obecnej chwili prawie bez wyjątku całą siłą pary ku ostatecznej ruinie — ale o nich nie podnosi się głos w parlamencie, ani na konferencyach ministeryalnych, ani na zebraniach rolniczych.

Zen. Por.

MAJORATY CHŁOPSKIE.

Znana jest już czytelnikom naszym pobieżna wzmianka o projekcie p. Pobiedonoscewa, oddanym do rozważenia osobnej komisyi. Ze względu na doniosłość przedmiotu, postaramy się bliżej go rozpatrzyć. Myślą przewodnią jest tu ochrona posiadłości kmiecych przed działkowaniem śród rodziny na drobne cząstki i przed przymusowem przechodzeniem ich drogą sądowego wywłaszczenia w ręce obce. Środkiem przeciwdziałającym mają właśnie być owe majoraty chłopskie. Szczegółów pomysłu jeszcze dokładnie nie znamy. Sama atoli jego dążność zasadnicza mówi już wiele i każe przypuszczać, że będzie to uzupełnieniem prawa, ogłoszonego w r 1891. Ażeby całą rzecz jasno przedstawić, musimy sobie uprzytomnić główne punkty tego prawa.

Prawodawstwo dawno już miało na względzie unieruchomienie gruntów włościańskich, tj. utrzymanie ich w rękach właściwych, więc też zakaz nabywania i dzierżawienia takiej ziemi przez ludzi, należących do innych stanów, istnieje od r. 1864; ale w praktyce nie był on stosowany, czego najlepszym dowodem jest to, że na gruntach chłopskich wyrosły wielkie ogniska przemysłu fabrycznego, głównie w Sosnowicach, tudzież w pobliżu Będzina, Łodzi i Zgierza. Tranzakcye tego rodzaju szły bardzo łatwo, zebrania bowiem gromadzkie, same interesowane, wydawały świadectwa na podstawie faktów zmyślonych, że nabywca lub dzierżawca należy do stanu włościańskiego. Wielce temu sprzyjała jeszcze ta okoliczność, że obowiązujące w Królestwie Polskiem prawodawstwo cywilne nie rozróżnia stanów. W razie wykrycia tych nadużyć nabywca lub długoletni dzierżawca obowiązany był stosowny obszar gruntów zakupić i wcielić je do własności włościańskiej. Wielu też robiło to dobrowolnie zawczasu, aby uniknąć wszelkich nieprzyjemności.

Nowe przepisy, wprowadzone w r. 1891, musiały poniekąd zgodzić się z faktami. Usunięcie bowiem z gruntów kmiecych wszystkich przemysłowców i przedsiębiorców mogłoby sprowadzić ruinę ekonomiczną. Postanowiono więc, iż osady i grunty włościańskie, pozostające z chwilą wydania przepisów w rękach niewłościan, mogą i nadal w nich pozostać aż do upływu terminu dzierżawy, jeżeli ten nie przekracza okresu 20-letniego. W przeciwnym razie, tj. jeżeli kontrakt zawarty na czas dłuższy lub nieograniczony (w formie pozornej dzierżawy, właściwie zaś sprzedaży), grunt może również pozostać u dzierżawcy do lat 20, licząc od daty wydania owych przepisów (3 czerwca 1891 r.). Po upływie zaś tego terminu ziemia winna być zwrócona właścicielowi, jego spadkobiercom lub innym dzierżawcom pochodzenia włościańskiego. Tak długi okres pozwala przemysłowcom i przedsiębiorcom uregulować swe interesy bez gwałtownych szkodliwych następstw. Po tem zastrzeżeniu prawo dalej postanowiło, że na przyszłość wolno nabywać, brać w zastaw lub dzierżawę grunty włościańskie osobom, które się dzielą na trzy następujące kategorye: 1) włościanie i mieszczanie rolnicy Królestwa Polskiego, zapisani do tabel likwidacyjnych i nadań, tudzież ich zstępni potomkowie; 2) poddani ruscy, mieszkańcy Królestwa Polskiego, którzy mogą być uznani za włościan lub mieszczan-rolników, zajmujący się uprawą ziemi i inną w związku z nią czynnością; 3) osoby urodzone w Cesarstwie, należące do stanu włościańskiego. Pierwsi, pragnący nabyć, wydzierżawić lub wziąć w zastaw grunt uwłaszczony, powinni przy akcie złożyć rejentowi ze stosownem poświadczeniem wypis z tabeli likwidacyjnej, tudzież w pewnych razach z akt stanu cywilnego, dowodzący, iż nabywca pochodzi w prostej linii zstępnej od osoby, do tabeli zapisanej. Drudzy, niezapisani do tabeli likwidacyjnej, powinni uzyskać i dołączyć do aktu rejentalnego poświadczenie, iż mogą być uznani za włościan lub mieszczan-rolników. Trzeci — korzystają z pewnych ułatwień, tj. muszą złożyć tylko pasport, dowodzący, iż należą do stanu włościańskiego. Żydom stanowczo wzbroniono nabywania gruntów kmiecych, dzierżawienia, brania w zastaw, użytkowania we wszelkich innych formach, wreszcie zarządzania. Wyjątek uczyniono dla gruntów włościańskich, przylegających do miasta lub osady. Wolne są one od wszelkich ograniczeń, ze względu na możliwy rozrost powyższych zbiorowisk ludzkich.

Zestawmy teraz owe przepisy z r. 1891, naszkicowane tu w pobieżnym zarysie, z wnioskiem p. Pobiedonoscewa, a przekonamy się, że będzie to uzupełnienie prawa. Gdy bowiem poprzednio miano na względzie ten warunek, ażeby grunty włościańskie nie wychodziły z rąk włościan, obecnie w szkicu nowych przepisów oprócz powyższego warunku tkwi dążność utrwalenia własności kmiecej jeszcze w inny sposób: przez ochronę jej od działkowania drobnego. Jak wiadomo, owe działy rodzinne w wielu miejscowościach kraju doprowadziły do tego, że na jedną zagrodę chłopską przypadają trzy lub dwumorgowe szmaty gruntu, niemogące wyżywić posiadaczów. Wprawdzie i tutaj już dawniej przepisy wejrzały i oznaczyły *minimum* działek na 6 morgów. Ale zakaz ten, nie mający odpowiedniej sprężystości, pozostał tylko w teoryi. O ile wnosić możemy, nowy projekt majoratów chce wprowadzić środki zaradcze z możliwie największą siłą. Zaznaczyć atoli musimy, że prawo ochrony gruntów kmiecych, wydane w r. 1891, jak i obecny wniosek p. Pobiedonoscewa, obejmują tylko grunty, nadane przez uwłaszczenie, podczas gdy nabyte później nie podlegają tego rodzaju opiece prawnej. Tymczasem, według obliczeń prof. Simoneńki („Statystyka porownawcza Królestwa Polckiego, Galicyi i W. Ks. Poznańskiego“), po r. 1864 własność włościańska w Królestwie Polskiem zwiększyła się niespełna o dwa miliony morgów i 267,000 osad, czyli prawie o $^1/_3$ w stosunku do poprzedniej. Obliczenia te pochodzą z przed lat kilku. Dzisiaj, o ile wnosić można z ruchu parcelacyjnego, przyrost ten znacznie się powiększył.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

— Według wiadomości z Petersburga, ilość papierów, przedstawionych do konwersyi, wynosi do miliarda rubli.

— Fabrykanci warszawscy grzebieni metalowych powierzyli wyłączną sprzedaż swych wyrobów jednej firmie po cenach unormowanych. W ten sposób utworzyli rodzaj syndykatu.

— Towarzystwo francuskie, eksploatujące niedawno powznoszone „szalety“ w Warszawie, straciło w r. z. 2,000 rubli na tem przedsięwzięciu.

— Towarzystwo fabryki wyrobów bawełnianych pod firmą I. K. Poznański w Łodzi wypłaciło za r. z. 14% dywidendy, a fabryka R. Kindlera w Pabianicach 9%.

— Wskutek odpowiedniej odezwy dyrektora departamentu handlu i rękodzieł, komitet giełdowy warszawski uprosił pp. M. Reichmana i S. Kossutha do reprezentowania zgromadzenia giełdowego warszawskiego w komisyi, obradującej w Petersburgu nad reformą opłat gildyjnych i handlowych. Na konferencyi, odbytej w tym przedmiocie, zgromadzenie warszawskie wyraziło opinię: 1) aby podstawą podatku nie był obrót: 2) aby ilość gildyi powiększyć do czterech; 3) aby rozkład podatku był dokonywany, jak dotąd, przez komisyę z kupców i obywateli; oraz 4) aby rozciągnięto na Królestwo Polskie przywileje kupców gildyjnych w Cesarstwie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Komisya specyalna przy ministeryum skarbu w sprawie zmian w pobieraniu stempla spadkowego ukończyła swą pracę. Między innemi oświadczyła się warunkowo za zniżeniem tego podatku przy najbliższych stopniach pokrewieństwa, oraz od majątków mniejszych niż 15,000 rs.

— Według doniesienia *Birżewych Wied.*, ministeryum spraw wewnętrznych, na przedstawienie generał-gubernatora kijowskiego, zgodziło się na skasowanie dwóch instytucyi dobroczynnych żydowskich: kijowskiego komitetu dobroczynnego i dozoru nad cmentarzami żydowskimi. Pełnienie ich zadań powierzono

zarządowi miejskiemu z udziałem przedstawicieli gminy żydowskiej, wybranych przez władzę gubernialną.

Zdrowie publiczne. Na Czystem, przy ul. Dworskiej, za rogatkami Wolskiemi, położono kamień węgielny pod nowy szpital dla starozakonnych.

— Od dnia 23 kwietnia do 23 maja do pozostałych w oddziale cholerycznym 12 chorych przybyło z Warszawy 31, z Ochoty i drogi Grójeckiej 15, z Woli 6, ze wsi Koło w gminie Czyste, ze wsi Izabelin w gminie Młociny i z Pruszkowa po 1. W tymże czasie z ogólnej liczby 67, zmarło 34, wyzdrowiało 19, pozostało 14. W liczbie przybyłych z Ochoty znajdował się dr. Kajetan Szczeniowski, miejscowy lekarz sanitarny, który wyzdrowiał.

Dobroczynność. Zabawa, urządzona w Dolinie Szwajcarskiej na dochód Instytutu moralnie zaniedbanych chłopców, przyniosła z górą 2,000 rubli. Grono członków komitetu zapoczątkowało utworzenie instytucyi, na wzór Towarzystwa Osad rolnych, i płacenie stałych składek rocznych.

Wystawa kwiatowa, urządzona przez warsz. Towarzystwo ogrodnicze, odbędzie się dnia 22, 23 i 24 czerwca.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani J. Fa. Czyż my tu możemy wypisywać cały katalog książek treści społecznej, godnych przeczytania?

Sprostowanie. W poprzednim numerze *Prawdy* w sprawozdaniu z geografii Reclusa zamiast: „Penckl,“ winno być: Pencka (Albrecht Penck, prof. geogr. na uniw. wiedeńskim).

— Piszesz Pan, że jesteś miłośnikiem „pracy i prawdy,“ sądzę więc, że czytujesz *Prawdę*, dlatego w niej wzywam Pana o podanie dokładnego adresu, a wytłomaczę opóźnienie. Listu czekam pod pierwszym adresem.

K. W.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Іюня 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.